W NUMERZE: JAK WITANO W LUBLINIE ROK 1900

Rok założenia 1933 (XXXII) • Lublin 16.XII-31.XII.1965 Nr 23-24 (332-333) • cena 2 zł

Kamena

BIAŁYSTOK
KIELCE
LUBLIN
RZESZÓW

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO—KULTURALNY

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

— Dzień dobry!
— Cześć!
— Czołem!

JAK zwykle, te same głosy skrzypią mi w uszach. Pozdrawiają mnie koledzy przyodziani w granatowe fartuchy. Ja też jestem w takim fartuchu. Odpowiadam obojętnie, tak jak obojętne są ich powitania. Zbliżam się do swojego stołu i odsuwam krzesło.

— Kuba, co robisz jutro? — pyta wiecznie zadowolony z życia Wacek.

— Nic — mówię i udaję, że czegoś pilnie szukam w szufladzie.

— Co to znaczy nic? — odwraca głowę w moją stronę i dodaje — przecież jutro niedziela!

— Nic, to znaczy, że jutro kompletnie nic nie robię. Chyba jasne. — Mój rozdrażniony głos nawet go nie zdziwił. Przyzwyczaił się.

*

To było wczoraj. Teraz leżę na tapczanie i staram się jak najdalej wyciągnąć obie nogi między prześcieradłem a chłodną powłoką kołdry. Strzyknęło w prawym kolanie. Od kilku tygodni tak mi strzyka, a za każdym razem jestem tym zaskoczony. Gdyby tak pograć w kosza nie byłoby strzykania! Kiedy grałem ostatni raz? Dwa miesiące przed egzaminem magisterskim. Odtąd minęło półtora roku. Zaraz... Egzamin w czerwcu, a w sierpniu do pracy. Dzisiaj jest... piętnasty sierpnia. Rocznica! Pierwsza rocznica pracy w tym zakładzie, w tym mieście.

Przez nieszczelnie zasłonięte okno łatwo przebijają promienie słońca. Znowu będzie upał. Trzeba przymknąć oczy, by nie widzieć paskudnych firanek i jeszcze brzydszych zasłon.

*

— Przyjdziecie do pracy piętnastego — mówi dyrektor zza ogromnego biurka, na którym nie wiadomo po co ustawiono aż cztery telefony.

— Dobrze, ale mieszkać mogę już od dziś?

— Naturalnie. Macie pokój w hotelu, razem z trzema kolegami. Oni są od wczoraj.

Psiakrew, jak w akademiku! Kiedy człowiek będzie miał wreszcie swój kąt? Ale dyrektor jest w porządku. Fundowanemu stypendyście zapewnił mieszkanie.

— Dziękuję, panie dyrektorze. Pojutrze o godzinie siódmej stawiam się do pracy.

— Zapamiętajcie nazwisko swojego kierownika — Borsaniak. Inżynier Borsaniak, kierownik działu energetycznego.

— Tak, pamiętam.

— W życiorysie napisaliście, że jesteście członkiem partii. Od dawna?

— Osiem miesięcy, towarzyszu dyrektorze.

— Hm. Niedługo.

*

Właściwie powinienem wstać, odsunąć zasłony, szerzej otworzyć okno, umyć się i zjeść śniadanie. Wspaniały plan rozpoczęcia dnia. Ileż w nim odkrywczych momentów. Która może być godzina? Dochodzi dziewiąta. Gdzie mi się spieszy? Niech trwa leżenie martwym bykiem. Wysuwam stopy spod kołdry.

*

— Wojtal.
— Karecki jestem.
— Kruszyński.
— ... ecki.

Dłoń drugiego jest spocona. Przyglądają mi się. Wyglądają na zaprzyjaźnionych.

— Będzie kolega musiał spać tu przy drzwiach. Kto pierwszy ten lepszy — rechocze nie wiadomo z czego ucieszony ten pierwszy. — Trzecie łóżko jest już zajęte.

— Obojętne — mówię — postaram się o pokój sublokatorski.

— Kolega nie przywykłszy do warunków akademickich — odzywa się ten ze spoconą ręką.

— Przywykłszy i właśnie dlatego.

— O? Dojadło współżycie w akademiku? Mydełko kradli, urządzali pijatyki, robili głupie kawały?

— Nie. To ja robiłem.

Konsternacja. Nie mają zbyt mądrych min. Śmieją się nieszczerze. Na pewno zaraz zmienią temat.

(Dokończenie na str. 4)

INŻYNIEREK NIE DO TAŃCA

TADEUSZ WIĄCEK

Ludzie i kości

MATYLDA WEŁNA

Gospodarz pałacu — który my nazywamy szkołą Tysiąclecia — oczekiwał mnie w swoim gabinecie. Do Białopola dotarłam późno, wskroś ciemności i mgły gęstej oraz białej jak mleko. Całodzienny pobyt w pow. hrubieszowskim dostarczył mi tyleż ciekawego, co i wstrząsającego materiału. Nie będę Kolumbem. O sprawach tych powiedziano już niemało. Są jednak i takie zjawiska — szczególnie z ostatniego okresu historii — o których milczy się wstydliwie. Nie przynoszą nam one chwały.

Mgr Staniszewski pokazał mi rozprawę Heleny Brodowskiej, *„jedyną pełniejszą monografię syntetyczną"* o wspaniałomyślnym i wiekopomnym dziele Stanisława Staszica, zakupioną w lubelskich księgarniach. Ślady na grzbiecie książki dowodziły wyraźnie, że nabywca uratował ją niechybnie od nieszczęśliwego losu legendarnego króla.

— *Proszę pani* — zażartował — *wziąłem najmniej zniszczony egzemplarz. Były inne, bardziej pogryzione, z większą ilością dziur, tu są tylko trzy. To świetna rzecz, doskonale wydana a nakład w ciągu 9 lat nie rozszedł się. Co wobec tego ja? Mogę liczyć na popularność?...*

Względy patriotyzmu lokalnego sprawiły, że Tadeusz Staniszewski napisał pracę magisterską, pod kierunkiem doc. dr Mencla, na temat: *„Samorząd gminny w Towarzystwie Rolniczym Hrubieszowskim w latach 1822—1864"*. Praca nie została opublikowana. Jak dotąd odbito ją tylko na powielaczu w lokalnym Biuletynie. I było głucho. Autor uwalniał pamięć od nagromadzonych faktów. Nagle — rwetes. Proszą na sesje, konferencje, żądają odczytów, pogadanek. I to w szerokich kręgach: nauczyciele, chłopi, działacze polityczni. Cóż by to się stało? Renesans Staszica?

Wyciągnęłam z narady — przed samym Dniem Nauczyciela — prezesa regionalistów hrubieszowskich, Kazimierza Kulikowskiego. Nerwowo i pośpiesznie usiłował mi w krótkich słowach powiedzieć to, co się w krótkich słowach powiedzieć nie da. Wręczył na koniec pewne dokumenty, co do innych poinformował, gdzie ich szukać i skierował mnie do sekretarza Towarzystwa Regionalnego, Wincentego Piątaka. Powoli zaczynałam chwytać, że chodzi o rzecz niemałą.

Sam gest był piękny, nie mówiąc o przywiecającej mu idei. Staszic jako mieszczanin, nie miał prawa nabywania posiadłości ziemskich. W jego imieniu i za jego oszczędności czynią to Sapiehowie. Dobra obejmują połać Hrubieszowa oraz wsie: Pobereżany, Czerniczyn, Bohoro-

(Dokończenie na str. 7)

Księga Puszczy

STANISŁAW FORNAL

MIESZCZUCH poszedł w las. I to w jaki! Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozpościera się otwarta księga pradawnej świętokrzyskiej Puszczy Jodłowej. Nic, tylko czytać. Wszystko wypisała natura nieprzebranym bogactwem kształtów i barw. A teraz jeszcze to szczególnie tło: najbielszej białości śnieg.

Mieszczuch patrzy, podziwia. Czuje się, jak to mówią, oczarowany. Co widzi? Przede wszystkim c h o i n k i. Mnóstwo choinek. Innych niż te, jakimi kupczą na targowisku, nie tych dekorowanych pośmiertnie świecidełkami, iluminowanych żarówkami. Tutaj, w Puszczy, choinki żyją i umierają, stojąc; nie tracąc więzi z glebą, co je wydała. Trudno przybyszowi z miasta początkowo więcej dostrzec. Księga Puszczy pisana jest tajemnymi znakami, w obliczu których wielu z nas musi czuć się analfabetami.

Na szczęście, tym razem mieszczuch nie jest sam. Towarzyszy mu życzliwa opieka leśnych ludzi. Oni nie pozwolą mu tutaj zginąć — ani w sensie przenośnym, ani też — co jest wcale realne — dosłownym Przed ich okiem żadna pani Jodła nie zatai swej metryki, dla nich każdy zwierzęcy ślad na śniegu jest czyimś autografem: dzika, sarny, zająca lub pospolitego wiejskiego kundla.

Kim są ci przewodnicy amatora puszczańskich wrażeń? — Najkrócej i najsłuszniej mówiąc, dobrymi, opiekuńczymi duchami Puszczy. Wcielonymi w osoby: dyrektora Świętokrzyskiego Parku Narodowego — Eugeniusza Krysztofika, leśniczego — Wincentego Silskiego,

(Dokończenie na str. 7)

WSZYSTKIM WSPÓŁPRACOWNIKOM I CZYTELNIKOM „KAMENY" NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE składa Redakcja

Zbliżenie... Fot. Andrzej Polakowski

Panowie uciekajcie!

WIESŁAW BARAŃSKI
BOGUSŁAW RAJCHERT

DŁUGO nie zastanawialiśmy się nad wyborem: ostatecznie w każdym powiatowym miasteczku moglibyśmy przeprowadzić taki jak ten „eksperyment". Wybraliśmy zatem N. i tu zaczęliśmy od brzoskwiń. Ustaliliśmy, że „mamy" pół tony tych owoców. Cena wtedy (sprawdzaliśmy) wahała się od 23 do 25 zł za kilogram. Myśmy za swoje chcieli po 10 zł za kilogram.

Szukamy jakiejś owocarni. Jest w rynku. W sklepiku trochę ludzi, czekamy. Sprzedawczyni wydaje się to podejrzane, na wszelki wypadek od niechcenia, rzuca na towar karteczki z cenami. Licho nie śpi. Wreszcie zostajemy w sklepie sami.

— Mamy do sprzedania transporcik brzoskwiń.

— Ile?

— Pięćset kilo, pół tony...

Sprzedawczyni rozumie już, o co chodzi. Pyta o cenę. Wyjaśniamy: na rynku kosztują tyle, my chcemy znacznie mniej. Możemy dać rachunek. Prosimy tylko, żeby zaraz po upłynnieniu towaru jakoś go zniszczyła.

— Wie pani, pod zapałkę — radzimy — i ani śladu.

Kobieta się trochę waha. W zamyśleniu bierze słuchawkę telefoniczną...

— Pani do kogo... — jesteśmy trochę przestraszeni. — Pogadajmy

(Dokończenie na str. 11)

Po Zjeździe ZLP

KONRAD BIELSKI

OSTATNIE zjazdy pisarzy polskich odbywają się pod znakiem rocznic, co prawie zawsze jest okazją do oceny już przebytej drogi, a także do refleksji i zadumy. Zjazd lubelski toczył się w atmosferze XX-lecia Polski Ludowej, w atmosferze pełnej wspomnień, porównań, tego, co było, z tym, co jest. Dlatego też i dorobek pisarzy polskich musiał być poddany krytycznej i wnikliwej ocenie.

Na Zjazd przybyli przedstawiciele najwyższych władz politycznych i państwowych z Władysławem Gomułką na czele. Wygłoszono szereg ciekawych referatów, potoczyła się dyskusja odważna i pasjonująca. Czy literatura nasza nadąża za wielkimi zdarzeniami doby obecnej, a jeśli nie, to dlaczego? Czy nasza rzeczywistość wraz z jej triumfami i trudnościami znajduje właściwe oblicze w naszych książkach?

A że jeszcze Zjazd poprzedziły zebrania, na których omawiano w sposób namiętny i gorący pewne sprawy dotyczące warunków naszej pracy i klimatu, w jakim swój zawód wykonujemy — podniosło to jeszcze temperaturę i wzbudziło powszechne zainteresowanie naszymi obradami.

Zjazd lubelski, oczywiście, nie mógł wyjaśnić wszystkich zagmatwanych spraw i rozwiązać definitywnie szeregu trudnych problemów, ale niewątpliwie przyczynił się do rozładowania pewnych napiętych sytuacji i stworzył dogodne warunki do dalszej twórczej pracy.

Zjazd XV, nazwijmy go krakowskim, też jubileuszowy, gdyż właśnie minęło 20 lat od pierwszego Zjazdu, odbytego po raz pierwszy w wyzwolonym kraju i właśnie tu, w Krakowie, poprzedziła szeroka dyskusja przeprowadzona na łamach prasy literackiej. Wypowiedziało się wielu czołowych pisarzy, a również zabrał głos Zenon Kliszko, życząc nam powstania wielu mądrych i pięknych książek, a jednocześnie dzieląc się z czytelnikami swymi poglądami na kluczowe problemy współczesnej sztuki i literatury. Toteż jadąc na Zjazd nie spodziewaliśmy się żadnych rewelacji i sensacji, lecz ciekawych obrad i kontaktów z miejscowym społeczeństwem w postaci licznych spotkań autorskich.

Oczekiwania nasze nie doznały zawodu. W pięknej, staroświeckiej sali obrad krakowskiej Rady Narodowej, przy blasku okazałych żyrandoli, gdzie ze ścian zewsząd spoglądały na nas portrety ludzi sławnych i zasłużonych dla miasta i kraju, potoczyły się nasze obrady poważnie i rzeczowo.

Obszerne i wszechstronne sprawozdanie z 3-letniej kadencji Zarządu Głównego, wygłoszone przez prezesa Jarosława Iwaszkiewicza, dało obfity materiał do oceny krytycznej i dyskusji. Prezes Iwaszkiewicz omówił również referat pisarzy Oddziału Warszawskiego i odniósł się pozytywnie do całego szeregu zawartych tam postulatów. Sprawy te przewijały się również w głosach poszczególnych dyskutantów. Opowiadano się za potrzebą powstania jeszcze jednego periodyku literackiego. Pismo to uzupełniałoby brak, który da się jeszcze odczuwać w tej dziedzinie i stanowiłoby dodatkowe miejsce wypowiedzi dla wielu pisarzy. Wprawdzie padały zarzuty, że inicjatorzy nie mają jeszcze skrystalizowanego profilu postulowanego periodyku, ale zwolennicy utworzenia nowego pisma odpowiadali, że program sam się wyłoni, jak w wypadku „Kuźnicy", czy „Odrodzenia".

Dyskutowano też i stawiano zarzuty tzw. cenzurze wewnętrznej, mającej siedzibę w wielu jeszcze redakcjach i wydawnictwach, która jest często „plus catolique que le pape", co stanowi dla rozwoju twórczości czynnik hamujący.

Krótki referat Tadeusza Hołuja skoncentrował uwagę obecnych na wciąż aktualnym problemie stosunku literatury do naszego świata, na braku powieści współczesnych odpowiedniej miary i na ciągle jeszcze luźnym powiązaniu naszego pisarstwa z wielkimi zadaniami, z którymi się boryka na co dzień nasze państwo.

Poglądową lekcją dla tych tematów był wyjazd uczestników Zjazdu do Nowej Huty. Zwiedzanie Huty im. Lenina, spotkanie z jej kierownictwem i aktywem pozostawiło na wszystkich niezatarte wrażenie. Wielu z nas było tam po raz pierwszy. Doprawdy trudno znaleźć odpowiednie słowa zachwytu i podziwu dla tego, tak potężnego osiągnięcia dokonanego wspólnym wysiłkiem inżynierów i robotników polskich, a serdeczność i skromność tych ludzi budziła uczucia wzruszenia i zażenowania. Niejeden chyba z pisarzy, myśląc o współczesnych tematach, nieraz wróci pamięcią do tego spotkania.

Nie zabrakło na Zjeździe głosów poruszających sprawy związane z najważniejszymi zagadnieniami polityki międzynarodowej. Po wzruszającym przemówieniu Moniki Warneńskiej, która bezpośrednio relacjonowała to, co widziała w Wietnamie, Zjazd uchwalił apel do wszystkich pisarzy o potępienie tej okrutnej wojny. Ton poważnej troski o przyszłość dzisiejszego świata przewijał się również w przemówieniach Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Zawieyskiego i wielu innych.

Oczywiście, dużo też czasu poświęcono wewnętrznym sprawom działalności naszego Związku. Postanowiono zainicjować wspólnie z ZAIKS budowę Domu Pracy Twórczej dla pisarzy starych, znajdujących się w trudnym położeniu. Nareszcie dokonano niezbędnych zmian w statucie. Na koniec przeprowadzono wybory.

Prezesem Zarządu Głównego został ponownie Jarosław Iwaszkiewicz. Innych kandydatur w ogóle nie zgłaszano. Dokonano również wyboru Zarządu Głównego, w składzie 20 osób, Komisji Rewizyjnej, Komisji Kwalifikacyjnej i Sądu Koleżeńskiego na dalsze 3 lata. W Zarządzie i komisjach nastąpiły niewielkie zmiany personalne. Zasadniczo pozostali ci sami ludzie, co w poprzedniej kadencji i to posiada także swoją wymowę.

Zjazd zakończył się przyjęciem wydanym dla uczestników przez Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie, gdzie przy kieliszkach i kielichach, w serdecznym i miłym nastroju, swobodnie i bezpośrednio przegadaliśmy ze sobą kilka godzin.

Podziękowanie

Przedstawicielom władz partyjnych i administracyjnych, redakcjom gazet i czasopism kulturalnych, instytucjom oraz osobom prywatnym — wszystkim, którzy nadesłali nam depesze gratulacyjne z okazji 20-lecia wznowienia wydawnictwa „Kamena" po wojnie, składamy serdeczne podziękowanie.

REDAKCJA

Listy do KAMENY

List ze stokrotką

Miły nam wszystkim
K. I. Gałczyński
fiołek sobie wziął za „motto",
gdy do „Przekroju" pisał listy...
Ja list napiszę ze stokrotką,
chociaż nieśmiało
i w pokorze,
Szanowny Panie Redaktorze!

Życzenia, telegramy, listy
uplotły już girlandę piękną
godną „dwudziestoletniej" cyfry
i przeserdecznych uczuć pełną.
Niech i ja z życzeniami
zdążę,
Szanowny Panie Redaktorze!

Stokrotka będzie niech symbolem
polskich „stu lat" i stu
sukcesów,
podziwu w czytelników kole...
Setki radości i uśmiechów
też życzę w skromnym tym
utworze,
Szanowny Panie Redaktorze!

I chciałabym — lecz to życzenie
cichutko łączę i ukradkiem —
by w tysiąclistnej tej „Kamenie"
być chociaż jednym małym
płatkiem...
Cóż... każdy życzy tak jak
może,
Szanowny Panie Redaktorze!

Irena Leciejewska-Anczarska

STEFAN WOLSKI

Apostrofa

Wy,
rozcinając i radość, i smutek,
i oko nurzając we wnętrzu,
w żywot i w serce,
nawet w drożność pór życia i śmierci,
skalpelem ciekawości wtargnąwszy do mózgu...

Wy,
dymiąc, dygocąc od żądzy poznania,
o możność poznania bogatsi;
a kiedy pełni lub właśnie na tropach,
gdy o mnie,
o sobie,
i o nich...

Jasnowiedzący,
gdzie Nil śnięty w piaskach
i jeszcze po kraj skośnooki,
albo w kosmosie drogami powieści
i nowel od Luny natchnionym...
Wy,
kiedy prawdę mówicie,
lub, tając,
kłamiecie i plwacie pochopnie...
A przecież wyżej,
ten krok zawsze wyżej...
I nawet w nurcie,
aż gdzieś z przedpotopów,
z epok sanskrytu i Mitry...
Co przyrzekacie dziś, co obiecacie
w truchcie codziennych problemów?

Więc gdy milczycie, żeby ciągle mówić,
gdy śnicie, by nie spać i widzieć,
czasem tak skromni,
nieczuli swych mocy,
jakby dziecinnie zdziwieni...
Przewidujący,
kojarząc zamierzchłe,
wodzowie „narzędzi ze świata",
Jądra mądrości tragarze,
gdy wdzięk harmonii
i wielkich metafor
przed wami już odkrył swe łoża,
co przyrzekacie dziś, co dacie jutru?

Was
pytać o debaty, o skrót, o istotę
tych czasów, co wzięły sztafetę...
I sądy nad wami,
i sądy nad nami,
a wos...
a wy, świadczyć będziecie.

Henryk Worcell

laureatem nagrody „Odry"

Jury w składzie: Zdzisław Hierowski, Tymoteusz Karpowicz, Zbigniew Kubikowski, Tadeusz Lutogniewski i Włodzimierz Maciąg jednomyślnie postanowiło nagrodę miesięcznika „Odra" za rok 1965 przyznać

HENRYKOWI WORCELLOWI

za zbiór opowiadań pt. „Najtrudniejszy język świata". Kontrkandydatem do nagrody był Edward Balcerzan jako autor powieści pt. „Pobyt".

Nagroda wynosi 10.000 zł. Została ona laureatowi wręczona 9 grudnia br. na publicznym spotkaniu we wrocławskim Domu Związków Twórczych.

„Nike Warszawska"

Inicjatorem Nagrody Młodych „NIKE WARSZAWSKA" są: Estrada Rewolucyjnej Poezji i Pieśni im. Wł. Broniewskiego przy Klubie „Hybrydy" i Warszawskie Koło Twórcze Młodych TRZZ. Patronuje: Rada Okręgowa ZSP w Warszawie i Wydział Kultury Stołecznej Rady Narodowej.

„NIKE WARSZAWSKA" — symbol tragedii i zwycięstwa, pragniemy, aby stała się inspiratorem wielu poczynań poetyckich młodego pokolenia, poezji antyfaszystowskiej i antywojennej, poezji o głębokich walorach ideowych.

Ponieważ „NIKE WARSZAWSKA" wyraża przede wszystkim dzieje ludu warszawskiego, inicjatorom Nagrody zależy na utworach związanych z Warszawą — jej bohaterską przeszłością i dniem dzisiejszym.

Nagroda przyznawana jest corocznie w rocznicę wyzwolenia Warszawy spod okupacji hitlerowskiej (tj. w styczniu), podczas okolicznościowych sympozjonów poetyckich i tzw. „DNIA POEZJI".

Jury powołują organizatorzy; skład imienny jury ogłoszony będzie w chwili przyznania nagrody.

Nagroda przyznawana będzie za cykl wierszy albo poemat. Utwory nie mogą być uprzednio drukowane. Prace należy nadsyłać w maszynopisach (5 egzemplarzy).

Utwory do nagrody dorocznej „WARSZAWSKA NIKE" za rok 1965 — prosimy nadsyłać do dnia 10 stycznia 1966 roku. Jest to termin ostateczny.

Utwory należy opatrzyć godłem, w zaklejonej kopercie podać imię, nazwisko i adres. Prace należy nadesłać pod adresem: SEKRETARIAT NAGRODY „NIKE WARSZAWSKA", WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 43, KLUB „HYBRYDY" (TEL. 28-92-81).

NAGRODA wynosi 3 tys. złotych; I wyróżnienie — 1 tys., II — 500 zł. Jury ma prawo do zmian.

przegląd PRASY

SPRAWY zjazdu Związku Literatów Polskich, który odbył się na początku grudnia w Krakowie, wypełniały przez długi czas łamy prasy społeczno-literackiej. Wypowiadali się pisarze, pojawiały się liczne wywiady. „WSPÓŁCZESNOŚĆ" wydrukowała rozmowy z Igorem Newerlym i prezesem ZLP, Jarosławem Iwaszkiewiczem. Zauważył on, że krytyka literacka, o której też powinno się mówić na zjeździe, jest zbyt teoretyczna i zwrócona ku Zachodowi, rozmijając się z naszą rzeczywistością literacką. Wypowiadając się o nurcie wstępującym literatury polskiej Iwaszkiewicz stwierdził, iż wszystko zdaje się obecnie świadczyć za tym, że *„kontynuacją literatury narodowej stanie się literatura chłopska. Dlatego duże nadzieje pokładam w pisarzach młodszego pokolenia, takich jak Bryll czy Kawalec, którzy zajmują się właśnie problematyką wiejską".*

Pośród wypowiedzi przedzjazdowych środowiska pisarskiego, drukowanych na łamach „TYGODNIKA KULTURALNEGO" najbardziej programowy charakter miała wypowiedź młodego krytyka, Tomasza Burka, który w artykule pt. „Współczesna improwizacja" skonstatował że *„wielka ilość najrozmaitszych kontaktów i konfrontacji z innymi ludźmi, z rzeczami i wydarzeniami, z różnymi dziedzinami i płaszczyznami rzeczywistości — jest właściwością, która konstytuuje wizerunek duchowy współczesnego człowieka. Wskutek tego wzmożonego i aktywnego życia stał się on istotą wielopłaszczyznową, złożoną, nieprzewidywalną; niezwykle trudno jest go dziś ująć w całości".* Stąd za wcześnie jeszcze na dzieła skończone, całościowe. Nie ma w tym nieszczęścia, przeciwnie, *„w tej wielkiej improwizacji tkwi dla literatury prawdziwa szansa. Szansa rozmachu, polotu, świeżości, nowości, oryginalności. Trzeba ją jednak ciągle określać, precyzować, nazywać, by nie zginęła z pola widzenia współczesnej literatury".*

„ŻYCIE LITERACKIE" opublikowało z okazji zjazdu pisarzy wywiad redaktora naczelnego pisma, W. Machejka, z członkiem Biura Politycznego, Zenonem Kliszką, w którym rozmówca m. in. powiedział: *„Osobiście jestem przekonany, że Zjazd podejmie szeroko ideowe sprawy literatury, gdyż one właśnie decydują o jej obliczu i więzi z narodem. A uczestnikom Zjazdu, wszystkim pisarzom życzymy razem nowych, mądrych i pięknych książek, które ludzie uznają za swoje, za serdecznie bliskie. Ostatecznie one pozostaną na trwałe w historii naszej literatury i kultury, w historii naszego narodu".*

Tuż przed Zjazdem ukazał się wreszcie pierwszy numer dawno zapowiadanego i dawno oczekiwanego miesięcznika „POEZJA". Nowe pismo zapowiada się atrakcyjnie i dobrze będzie służyć rozwojowi poezji polskiej, czego mu serdecznie życzymy. W pierwszym numerze znajdują się między innymi wiersze K. Iłłakowiczówny, J. Iwaszkiewicza, A. Sterna. A. Kamieńskiej, M. Jastruna, W. Szymborskiej, Z. Herberta, U. Kozioł oraz eseje i szkice J. Krzyżanowskiego, J. Z. Jakubowskiego, M. Jastruna i J. Przybosia.

*

Niedawno odbyły się także innego rodzaju zjazdy — wojewódzki zjazd działaczy terenowych towarzystw regionalnych — w Krasnystawie i sejmik działaczy kulturalnych województwa kieleckiego.

O pierwszej imprezie pisze w „KULTURZE I ŻYCIU" Z. Dublewicz w artykule *„W stronę regionalizmu".*

*

Waldemar Babinicz — w artykule *„Gdy opierzeni wracają do gniazd..."*, wydrukowanym w „POLITYCE", poruszył istotne aspekty odbywanych zjazdów szkolnych. Materiału do refleksji dostarczył zjazd wychowanków chełmskiego gimnazjum im. S. Czarnieckiego. Autorowi artykułu chodzi o to, aby zjazdy *„nie miały wyłącznie charakteru wspominkowego, aby nie ograniczały się do rzewnych reminiscencji pewnej grupy starszych panów, ale stały się wielkim wydarzeniem, które wpłynie dodatnio na integrację miejscowej inteligencji, na rewizję metod wychowawczych, na ściślejsze powiązanie oświaty i kultury, wreszcie na pogłębienie funkcji społeczno - wychowawczej szkoły - gniazda, szkoły - matki".*

Brak miejsca nie pozwala na omówienie jeszcze innych pozycji publicystycznych, więc tylko wspomnę o reportażu W. Skulskiej *„Służba zdrowia i co dalej"* („KULTURA"), którego punktem wyjścia jest opinia lekarzy, że stworzyliśmy medycynę na wyrost, zapowiadając tuż po wyzwoleniu społeczną służbę zdrowia, kiedy stan gospodarki nie upoważniał nas do tak kosztownej ambicji. Najgorzej na tym wyszli lekarze. Warto przeczytać.

Koniecznie natomiast należy przeczytać wielki reportaż Z. Kwiatkowskiego *„Czwartego dnia po święcie nauczyciela"*, który opublikowało „ŻYCIE LITERACKIE". Tego strzęścić się nie da. Tak wstrząsającego materiału dawno nie widziało się w naszej prasie.

T. K.

ALEKSY KAZBERUK

nim spłonie dom

kiedy drzewa pomylą bieg
i zawrócą od światła zieleń niosące dłonie
oszukany przed świtem ptak
własnym ciepłem na węglach usiądzie i spłonie

kiedy pięść na kielichu zaciśnie kwiat
miażdżąc senność nieśmiałego płatka
pogubią mrówki wydeptany szlak
i z hienami we wspólnych osiądą klatkach

kiedy spali się dom
a w nim krzesła ręce na stołach
odejdzie z półki najwierniejszy tom
jak z wysuszonych ust słowo ostatnie

Białystok

WOJCIECH MODZELEWSKI

Wysychanie studni

Wyszedłem
dla głosu lasu
skupiony w błękicie
czasem migotliwy
brał w krąg weselny
moje rośnięcie od kołyski bieli
po okno umaczane w gałęziach starej wiśni
i dziurę w płocie: podawała
kolorowe szkiełka na zbliżenie oczu
niewidoczną ręką
przesuwała
barwne paznokcie
po zmiękczeniach bieli —
prowadziła ostrożnie
przestrzegając prawideł wyobraźni
— w tej szparze rosłej na wysokość oczu
ciągle odmienianej
ciągle ubarwianej
w krążkach kropli świecących wyławianiem tęczy
słyszałem: niebieskie
zielone
pomarańczowe
wołanie lasu —
przysłaniał
druciane okna naszego zielonego ogrodu —
tam mieliśmy wiszące pałace
na rozpostartych gałęziach wiśni
— jedna stara przy płocie była drzewem królewskim —
tam bawiliśmy się razem
i często krzyczeliśmy głośno:
że zawsze będziemy się bawić
w naszym zielonym ogrodzie
że zawsze będziemy razem
że nigdy się nie rozstaniemy.
Później rozegrał się dramat odchodzenia.

Teraz
gdy wracam dla głosu matki
głosu naszego zielonego ogrodu
głosu sióstr i braci przy naszym wspólnym stole
widzę wysychanie studni
chociaż kobiety jak zawsze czerpią wodę
i stara Frankowa powtarza
— szczęść boże —

Warszawa

STANISŁAW BARAŃCZAK

Korzyść z namacalności

Nie próbowałem jeszcze dotyku. W tym może szansa:
odrzucić w tył zawodne instrumenty, zostać tylko
oparty na końcach palców; może choć na odległość
rąk wyciągniętych utrzymać przybierające. Może
opóźnić choć na moment, jakiego trzeba mi będzie,
by o metr się przemknęło zrozumienie, co przede mną
rozprowadzają w jasność dłonie.

Bo nie próbowałem
dotyku jeszcze: czyż nie to jest jedynym narzędziem,
którym tkankę od tkanki odróżnię, zrozumiem ciało
do kości i więcej dodam, niż w nim jest — przekonany,
że to, co grzeję w dłoniach, ściślej się wiąże, jak ptasie
pióra i skrzydła ptaka.

Lecz nie próbowałem jeszcze
dotyku: tak dopiero wreszcie rozcina się węzeł,
w zrezygnowanym końcu, gdy reszta zawiodła. Wtedy
jednak trwa przecież lęk, że splot pokonano zbyt wcześnie,
zbyt nieufnie i pewnie. Zorać palcami pokłady,
namacalnie przyjmować w dłonie ciężkie grudki; a cóż,
jeśli skupione palce okażą się cięższe od nich?

Poznań

Artykuł dyskusyjny

Zagubieni w atomach

ANDRZEJ MALINOWSKI

POWIEDZIAŁ kiedyś wybitny brytyjski filozof, Bertrand Russel: *„Ludzie nauki nie tylko muszą borykać się z wiedzą o człowieku, lecz także — co zresztą jest daleko trudniejsze — muszą skłonić świat do zapoznania się z tym, co oni odkryli. Jeśli to trudne zadanie nie powiedzie się im, człowiek sam siebie wyniszczy swymi połowicznymi umiejętnościami".*

Ten tafny sąd wielkiego myśliciela i zawarta w nim ponura prognoza, nigdy nie były równie aktualne co dziś, w okresie niebywałych postępów nauki, które u przeciętnego człowieka powodują zawrót głowy, chaos pojęć i ogólny zamęt. Nigdy bowiem nie było tak wielkiej przepaści między naukową czołówką ludzkości — owym Parnasem uczonych i naukowców — a przeciętną średnią wiedzy zwykłego człowieka. Co więcej — przepaść ta powiększa się z dnia na dzień i nie istnieje, oczywiście, możliwość przerzucenia przez nią prymitywnego choćby mostu.

Cóż zatem ma robić zdezorientowany i zagubiony zwyczajny człowiek, któremu jeszcze nie tak dawno szkolna wiadomość o tym, że August Piccard wzniósł się balonem na wysokość 16 km wystarczała na długie lata, dając przyjemne poczucie jakiej takiej orientacji?

Zadaję to pytanie po to, aby wskazać w jak niesłychanie trudnej sytuacji znalazła się cała ogromna gałąź publicystyki, którą nazywamy popularyzacją wiedzy.

Chociaż nikt już dzisiaj nie wątpi w konieczność szerokiego popularyzowania nauki i techniki, zapewne również nikt nie wie z całą pewnością, kto i jak powinien to „robić" oraz czego owa popularyzacja miałaby dotyczyć w pierwszej kolejności. Spróbujmy zatem spojrzeć na te problemy w warunkach polskich, jako że te przecież interesują nas najbardziej.

Kto powinien parać się pracą popularyzatorską?

Pytanie nienowe, wywołuje jednak do dziś wiele kontrowersji i sprzecznych opinii. Czy mają to robić ludzie nauki, na pewno najbardziej kompetentni, czy może specjalna kategoria „specjalistów-popularyzatorów" nie związanych profesjonalnie z żadną dyscypliną wiedzy, słowem ludzie, którzy sami nie tworzą nauki, ale potrafią o niej autorytatywnie pisać i mówić?

Zapewne zwolennicy obu rozwiązań posiadają na poparcie swego stanowiska wiele ważkich argumentów, osobiście sądzę jednak, że powinni to robić i jedni i drudzy, w dostępny sobie sposób i na właściwą swym możliwościom skalę. Historia nauki zna wielu wybitnych uczonych, którzy błysnęli również nieprzeciętnym talentem popularyzatorskim. Żeby nie sięgać do nazwisk największego kalibru i ograniczyć się do współczesnych nam polskich naukowców, wspomnę choćby profesorów Arkadiusza Piekarę i Włodzimierza Zonna, czy znanego powszechnie doktora Jana Zabińskiego.

Nie sposób jednak, sądzę, zgodzić się z poglądem, reprezentowanym głównie przez niektórych naukowców, że sami ludzie nauki „zrobią" całą popularyzację wiedzy bez niczyjej pomocy. Nie wierzę w to najpierw dlatego, że uczony-popularyzator to mimo wszystko wyjątek, po wtóre — naukowców nie mamy znowu tak wielu, a ich podstawowym zadaniem jest jednak tworzenie nauki.

Siłą rzeczy działalność popularyzatorska będzie dla nich produkcją uboczną i dotyczącą w dodatku ich wąskiej specjalności. Nie mówię już o takich dodatkowych komplikacjach jak: specyficzny sposób myślenia, hermetyczność języka, czy nieznajomość odbiorcy publicystyki popularnonaukowej i trudność dopasowania się do jego poziomu.

Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że rolę głównej transmisji pomiędzy naukowym Parnasem i przeciętnym czytelnikiem czy słuchaczem, musi spełniać rzesza wyspecjalizowanych w swym zawodzie popularyzatorów nauki i techniki. Świadomie użyłem tu słowa „zawód", ponieważ nie wyobrażam sobie, aby działalnością popularyzatorską mogli skutecznie parać się amatorzy, działający przypadkowo, najczęściej bez jakiegokolwiek poczucia odpowiedzialności. Niestety, tak się tragicznie składa, że w większości polskich redakcji (wyjąwszy pisma fachowe) o problemach nauki pisze „kto jest pod ręką".

Żaden naczelny redaktor nie powierzy już napisania recenzji z koncertu muzycznego przypadkowemu członkowi zespołu, ale bez mrugnięcia okiem pozwoli na wypisywanie „popularnonaukowych" bredni pierwszemu lepszemu reporterowi, który na co dzień para się kroniką wypadków. Skutki są, oczywiście, opłakane. Na łamach gazet i tygodników roi się od błędów, kwitnie dezinformacja czytelników, podrywany jest autorytet nauki, a w jej osiągnięciach często upatruje się materiału do brukowych sensacyjek. W tej sytuacji trudno się dziwić, że wielu naukowców słysząc o dziennikarzu-popularyzatorze, w najlepszym razie oświadcza przez sekretarkę, że „właśnie są nieobecni". Bynajmniej nie dziwię się pewnemu lubelskiemu profesorowi, który zrzucił ze schodów reportera, będąc pod świeżym wrażeniem jego „popularnonaukowych" wyczynów.

Osobiście znam panów, którzy z największym spokojem rozpisują się o wadach serca, nie bardzo wiedząc, jaką rolę pełnią w nim przedsionki, a jaką komory. Oczywiście, tego rodzaju „popularyzacja" to jawny rozbój na nauce i czytelnikach.

Rzeczą wielce charakterystyczną dla owych pseudo-popularyzatorów jest nieprzezwyciężona niechęć do pogłębiania swych wiadomości w zakresie poruszanego tematu i wstręt do konsultowania gotowych materiałów z odpowiednimi specjalistami. Działają oni jak piraci pojawiając się nagle, siejąc spustoszenie wśród swych odbiorców i powodując zamęt w ich umysłach.

Wszystkie te cierpkie uwagi, a można by ich poczynić znacznie więcej, nie zmieniają faktu, że rolę transmisji ze świata nauki do przeciętnego człowieka musi spełniać głównie wyspecjalizowany popularyzator nauki, nie będący sam naukowcem.

Osobna sprawa to poprawiająca się ostatnio, ale ciągle jeszcze niewłaściwa, pozycja publicystyki popularnonaukowej, spychanej w gazetach i czasopismach na wstydliwe miejsca, często jeszcze uważanej za luksus. Tylko wówczas, gdy z poruszanych materiałów da się wykroić sensacyjną „bombę", wędrują one na czołówki kolumn i otrzymują kolorowe tytuły. Na co dzień tłumaczy się bezkrytycznie z zagranicznej prasy wątpliwej wartości „michałki".

Nie zamierzam tu roztrząsać szerokiej jak morze kwestii: „jak popularyzować". Pragnę jednak zatrzymać się przy jednej sprawie, przy stosunku dziennikarz — naukowiec w procesie popularyzacji wiedzy. Od tego stosunku zależy wszak bardzo wiele, częstokroć — wszystko.

Po tym, co napisałem o niekompetencji i niesolidności wielu tak zwanych popularyzatorów, uznaję się za zwolnionego od dalszych rozważań na ten temat, chociaż niewątpliwie osoba interpelującego dziennikarza i ranga jego macierzystej redakcji mają wielki wpływ na ten stosunek. Nad naukowcem, który nagle staje się informatorem, ciąży obawa, że podany przez niego materiał zostanie wypaczony, a on sam wystrychnięty na dudka. Stąd niechęć do udzielania wywiadów lub przekazywania jakichkolwiek informacji na temat swej pracy lub reprezentowanej specjalności.

Są jednak i inne powody sprawiające, że stosunek dziennikarz — naukowiec pozostawia wiele do życzenia. Zresztą, na te, o których wspomnę, dziennikarz nie ma już żadnego wpływu.

Przedstawiciele świata nauki, z którymi z konieczności musi stykać się popularyzator wiedzy, podzieliłbym na kilka kategorii. Pierwsza, na szczęście nieliczna, to wyniośli luminarze wiedzy, którzy z wyżyn swej katedry zdają się nie dostrzegać nic i nikogo. Do tych, oczywiście, popularyzator, nawet najbardziej sumienny, nie ma dostępu. Sądzą oni zwykle, że jakakolwiek popularyzacja jest bezsensowna, jako że nikt poza nimi poruszanych problemów nie jest w stanie zrozumieć.

Kategoria druga to naukowcy, którzy twierdzą, że monopol na popularyzację mają wyłącznie oni sami, a fakt, że jej nie uprawiają, należy przypisać wyłącznie nawałowi ważniejszych zajęć.

Trzecia grupa, to ludzie mimo profesorskich tog — życzliwi. Starają się pomóc w pracy popularyzatora, chętnie udzielają rzeczowych informacji, a ze swej wiedzy nie czynią niedostępnego sezamu. Przeciwnie — są zdania, że informowanie opinii publicznej o problemach ich specjalności jest pożyteczne i celowe.

Wreszcie ostatnia grupa, to fanatycy popularyzacji wiedzy, ludzie czynnie się nią parający, którzy działają w duchu przytoczonego na wstępie aforyzmu Bertranda Russela.

Jest jeszcze garstka naukowców, którzy popularyzację wiedzy wykorzystują dla celów reklamowych. Wprawny dziennikarz-popularyzator rozszyfruje podobne intencje natychmiast, ale zdarza się, że wprowadzony w błąd przez nieobiektywne informacje skłonny jest

(Dokończenie na str. 13)

INŻYNIEREK NIE DO TAŃCA

(Dokończenie ze str. 1)

— A do Starachowic to przez stypendium fundowane?

— Tak.

— My też. Z Politechniki Warszawskiej.

— Ja z Wrocławia.

— Po mechanicznym?

— Nie. Elektrycznym.

— Ten trzeci też z elektrycznego, ale z Łodzi. Prawdopodobnie będziecie pracować w jednym dziale. On mówił, że u... Jak on się nazywa. Bortyniak, Bosyniak...

— Borsaniak.

— Tak. Nasz nieobecny kolega już dowiadywał się o niego. Mówił, że to podobno kawał cholery.

*

Trzeba jednak wstać. Co za rozkosz tak przeciągnąć się solidnie. Odsunięcie zasłony. Ależ grzeje. Za pół godziny będzie można opalać się w oknie. Co tam może być w radio? Aha, „Radiowa piosenka miesiąca". Galka w prawo. — „I gdy będziesz ze mną tak szedł..." Pewnie Santor. W niedzielę można nastawić głośniej. Chyba już nie śpią. A gdyby nawet. Ślipy leżą na wierzchu.

Trzy przysiady. Znowu strzyka w prawym. Ręcznik wypadałoby zmienić. Teraz do łazienki. Zaraz otworzę drzwi, za którymi w przedpokoju będzie stało mleko. Zawsze stoi o tej porze. Jeśli nie będzie, to dzisiaj zdarzy się coś niezwykłego. — „W szkarłatną noc sierpniową, przyszedłeś". Rena Rolska. Oczywiście, że jest. Stoi nalane do połowy niebieskiego garnka.

— Dzień dobry, panie Jakubie. Widzi pan, mówiłam, że te upały nie skończą się tak prędko.

— Dzień dobry, pani.

Głąbczewska nigdy nie przepuści okazji, żeby zobaczyć mnie w ślipach. Mieszkam u niej od marca, ale dopiero teraz może mi się przyjrzeć. Przynajmniej taki ma pożytek z gorącego lata. Niech jej będzie na zdrowie. Wchodzę do łazienki i dogania mnie głos:

— A może u nas zjadłby pan obiad?

— Nie. Dziękuję bardzo.

Przez zamknięte drzwi słyszę radio. Zabawne. U Głąbczewskiej mam większy autorytet w ślipach niż w garniturze. Swoją rocznicę uczczę po raz pierwszy nową żyletką w maszynce.

*

Borsaniak może mieć najwyżej pięćdziesiąt lat. Twarz ma zniszczoną. Podaje nam rękę i wskazuje krzesła.

— Panowie odpracowują stypendium fundowane przez naszą fabrykę.

— Tak, panie kierowniku — przytakuje Wacek.

— Pan Surowicz trzy lata, a pan Karecki dwa. Zgadza się?

— Tak. — Tym razem ja czuję się w obowiązku przytaknięcia.

— Jeśli mam być szczery, to muszę od razu zaznaczyć, że nie mam przekonania do takich pracowników. Takie niestety, wynjosłem doświadczenie. Najczęściej po odwaleniu obowiązkowej roboty uciekają stąd. Warunki pracy im się nie podobają. Miasto im nie odpowiada. Potem znajdują sobie pracę gdzie indziej i cześć.

Ładnie nas ustawia. I miej tu, człowieku, zapał do pracy. Niech to szlag.

— ...Dlatego chciałbym panów przestrzec, że roboty będzie bardzo dużo, a wymagania jeszcze większe. Proszę pamiętać, że to nie zabawa w praktykę, lecz solidna, odpowiedzialna praca. Koledzy powiedzą wam z pewnością, że młodym inżynierom szczególnie daję w kość. To prawda.

— Nie przyjechaliśmy tu na majówkę — wtrącam.

Zatrzymuje na mnie wzrok i przez chwilę milczy.

— Tasak... No czas do roboty. Sekretarka zaprowadzi pana, panie Surowicz. A pan niech chwileczkę zostanie.

Wacek wychodzi w towarzystwie niezgrabnej dziewczyny.

— Panie magistrze inżynierze Jakubie Karecki — przerywa milczenie Borsaniak — przepraszam, towarzyszu magistrze inżynierze Jakubie Karecki, kończyliście studia we Wrocławiu, a praktyka?

— W zakładach „Elwro".

— Ach, tam. Szkoda, że nie postaraliście się żeby mieć ją u nas.

— Tak się złożyło że musiałem wtedy być we Wrocławiu. Pan rozumie... rozumiecie, względy osobiste.

— Bo widzicie, ta praktyka nie na wiele wam się teraz przyda.

— Rede się starał, żeby...

— O, nie wątpię. Ale na początek nie może wam dać konkretnego zadania. Raczej drobne, prościutkie sprawy. Przyzwyczaicie się ludziom, ich pracy. Uczcie się z tego i wyciągnicie wnioski. Jak już będziecie trochę otrzaskani, sam o was pomyślę.

— Wydaje mi się, że...

— Zaprowadzę was na halę. Wiecie, co to jest suwmiarka?

*

Za chwilę mleko będzie ugotowane. Wczorajszy chleb wysechł przez noc. Kto wymyślił taką bzdurę, że czerstwy jest zdrowszy od świeżego. Masło rozlewa się pod nożem. Cholera, mało nie wykipiało. Płatki sera szwajcarskiego tylko w środku zachowały świeżość. Audycja dla wojska. Spiker robi wszystko, żeby zainteresować słuchaczy. Z dołu stara się go zagłuszyć głośno nastawiona maszyna. Strumień słońca coraz dalej sięga w głąb pokoju.

*

Przerwali pracę. Patrzą na mnie. Borsaniak stoi obok.

— Panie Walicki, pozwól pan na chwilę.

Podchodzi do nas stary człowiek z rękoma wsuniętymi w kieszenie fartucha. Wyciąga prawą. Jego dłoń jest typową dłonią starego majstra.

— To nasz nowy pracownik. Inżynier Karecki. Chyba potraficie jeszcze go czegoś nauczyć.

— Chyba.

Stary wlepił we mnie na pozór obojętne spojrzenie. Ciekawe, o czym myśli.

— Będziecie tu pracować. Zgłaszajcie się do pana majstra. — Borsaniak odwraca się i odchodzi do drzwi. Przystaje.

— Jeśli będą jakieś pytania, przyjdziecie do mnie.

Kiwam potakująco głową. Wyszedł. Załoga w dalszym ciągu nie spuszcza ze mnie wzroku. Kilku uśmiecha się teraz bezczelnie. Obiekt sobie znaleźli. Nie wiem, co mam robić. Czuję, że zaczynam się denerwować.

— No, chłopaki, do roboty — wybawia mnie z zakłopotania majster. Kolejno narasta szum maszyn.

— A pan tak w garniturku na hali? — zapytuje drwiąco.

— Pierwszy dzień. Nie wiedziałem — zmusił mnie do tłumaczenia.

— Dobra, dobra. Zaraz damy fartuch.

— Dziękuję.

Idę za nim. Jego przygarbione plecy kołyszą się miarowo. Robotnicy nadal mnie obserwują. Może jestem pobrudzony na twarzy. Fartuch od dawna nie miał styczności z żelazkiem.

*

Krzesło ustawione już pod oknem. Msza na dole skończona. — „Godzina dziesiąta czterdzieści. Koncert życzeń". Układam się na krześle. Błogie ciepło rozlewa się po całym ciele. Nogi wyciągnięte na parapet. Trzeba zamknąć oczy, bo słońce straszliwie razi. — „Dla drogiej stryjenki Jolanty Wawrzak z Inowrocławia...". Ten sam głos ryczy z dołu. Brzuch i twarz nagrzewają się błyskawicznie. W oczach różowa plama. Cóż za wspaniałe rozleniwienie ogarnia wszystkie członki. Drobne kropelki potu zbierają się na czole, nosie, powiekach. Nie chciałbym zasnąć.

*

— Czy jest ktoś u kierownika?

— Nie — odpowiada sekretarka i próbuje się uśmiechnąć. — Ale jest zajęty.

— Proszę mu powiedzieć, że mam ważną sprawę.

— Chwileczkę... albo lepiej niech pan sam zapuka.

Nikt nie odpowiada. Lekko uchylam drzwi. Borsaniak siedzi w ciemnozielonym fartuchu pochylony nad biurkiem.

— Można? — pytam niezbyt głośno.

— Za momencik — odpowiada nie podnosząc wzroku.

Chce zapalić papierosa. Sekretarka podaje mi zapałki. Ma zupełnie ładne ręce. Wypaliłem już pół dukata, a drzwi obok nadal są zamknięte. Wreszcie otwierają się.

— Proszę — mówi zielony fartuch. Wskazuje na krzesło. — Słucham pana.

— Mam prośbę. Otóż...

W tej chwili zdaję sobie jasno sprawę, że niepotrzebnie tu przyszedłem. Przecież te zmęczone oczy ten zdolny inżynier Karecki". Uznanie w oczach...

— Nie o to chodzi — przerywam rozdrażniony — chcę pracować!

— A co pan robi?

— Obijam się. Jestem pośmiewiskiem załogi, która mnie nie cierpi. Oni ciężko pracują, a ja biorę pieniądze za to, że przez osiem godzin patrzę na nich jak cielę na malowane wrota. Czy pan tego nie rozumie?

— Skończmy tę pogadusżkę — urywa oschle. — Proszę zwrócić się z tą sprawą do Walickiego.

Zamykam ostrożnie drzwi za sobą. Żeby tylko nie trzasnęły. Byłaby to najbanalniejsza demonstracja. Sekretarka przygląda mi się z nieukrywanym zaciekawieniem. Głupia cholera.

*

Oczy otwierają się z trudem. Rozpalona twarz jest już w cieniu. Nos błyszczy od potu. Tylko nogi i ślipy grzeją się w słońcu. Jednak zasnąłem. Radio niemiłosiernie brzęczy. Reguluję gałkę. Chyba „W Jeziorach". Twarz, tors, brzuch, ręce, nogi nabrały czerwono-brązowego połysku. Ależ się urządziłem. Dochodzi trzecia. Koniecznie muszę coś zjeść. Jeszcze wezmę prysznic. Słyszałem, że to niezdrowo. Pewnie wymysł człowieka nieznoszącego wody. Dreszcz i zimna woda zalewa parujące ciało.

*

Walicki jakby mnie nie dostrzegł. Co mu się stało? Przecież jeszcze wczoraj wszystko było normalnie. Przystaje obok szczupłego Józka. Oho, znowu go opieprza. Lewą nogą wstał majster dzisiaj, humorek nie dopisuje. Te same gęby — Małek z zabawnym tikiem, Kosowicz zwany „ciamajdą", Tarnik z oczyma kreta, Walicki... Idzie w moim kierunku. Zatrzymuje się przy stole, bokiem do mnie. Otwiera teczkę, z której wydobywa porcję drugiego śniadania. Wolno gryzie chleb z białym serem. Przełyka.

— Poszedł pan na skargę — mówi.

— Nie rozumiem.

— Niech pan nie udaje. Borsaniak mi powiedział.

— Na nikogo nie skarżyłem.

Wiem, że mój protest brzmi nieprzekonywająco.

— Nie udawaj pan głupiego — strofującym tonem odzywa się majster. Chce pan pokazać, co potrafi. Za wcześnie.

— Jak to za wcześnie? Ile jeszcze mam czekać? Rok? A może całe dwa lata, które podobno muszę tu „odpracować"?

— Spokojnie... Rok, dwa lata... Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia pięć.

— No to zgadnij pan, panie inżynierze, ile lat musiałem się uczyć swojego zawodu?... Nie odpowiada pan.

— Co to ma do rzeczy.

— Dużo, panie inżynierze, bardzo dużo. Pan jeszcze nie przeżył tylu lat, ile ja stałem za maszyną. I w każdym roku uczę się czegoś nowego. A panu wydaje się, że przez cztery miesiące całą naszą robotę ma pan w małym palcu.

— Wcale tego nie twierdzę. Chcę, żeby mi pan dał jakąkolwiek pracę. Czuję się tu zupełnie nieprzydatny.

— Chce pan się wypróbować.

— Można to i tak nazwać.

— Dobrze. Józek ma kłopoty z transformatorem. Pan inżynier pomoże mu, nauczy go...

*

Nie lubię w niedzielę wychodzić na ulicę. Nie lubię napotykanych nienaturalnych ludzi. W niedzielę starają się za wszelką cenę być inni niż w dzień powszedni. Myją szyję i uszy, zakładają czyste koszule, pucują buty, wkładają maski. Spacerują nobliwie mężowie z żonami sądząc naiwnie, że swym wyglądem dodają uroku ulicy. Nie znoszę niedzielnych spacerów. Jestem głodny i muszę jak najszybciej dostać się do „Dancingowej". To najwytworniejszy lokal w tym mieście. Duszno tu, chociaż dużo wolnych miejsc. Cechą charakterystyczną jadłospisu są skreślone wymyślne potrawy. Pozostał rosół z makaronem i kotlet mielony. Dobre i to, byle szybko. Kelner w taki upał jest jeszcze bardziej powolny. Chyba pół roku temu siedziałem tu z Walickim.

*

Majster ma przymrużone oczy. Przymknęły mu się przed godziną i nie chcą się szerzej otworzyć. Jest pochylony nad stolikiem w moją stronę. Głowy nasze prawie dotykają się nad talerzami z jajkiem w majonezie, szynką i butelką wódki. Nie ma świadków przy naszym stoliku. Walicki wydaje się być szczerym.

— I wtedy pomyślałem sobie „jeszcze jeden inżynierek do tańca", już my mu pokażemy, co to znaczy praca w prawdziwej fabryce i to jakiej? Tylko żeś tyś się, bratku, nie zalamał. A przed tobą dwóch mięczaków wysiadło. Nie inżynierzy — siusiumajtki. Rozumiesz? Po trzech tygodniach u mnie, mało nie płakali. Później zostali przeniesieni, ale niedługo uciekli. Pewnie znaleźli wygodniejszą pracę. Nikt po nich nawet nie splunął. Fabryka potrzebuje ludzi twardych, których rzadko co może złamać. Rozumiesz? Ty wytrzymałeś u mnie pół roku. Pokazałeś, co potrafisz. I ja cię wypuszczę od siebie z czystym sumieniem. Wiesz dlaczego? Bo mógłbyś wytrzymać jeszcze rok, a kto wie, czy nie dwa lata. Ty, bratku, mógłbyś mnie teraz złamać, nie ja ciebie. Powiedz mi tylko prawdę: nauczyłeś się czegoś ode mnie? No powiedz?

— Nauczyłem się wiele, panie majstrze.

— Nie mów nigdy „panie majstrze" tylko „panie majster", albo najlepiej mów mi „panie Walicki". Inaczej będę do ciebie mówił „panie inżynierze". He, he... chcesz?

— Daj pan spokój, panie Walicki.

— Panie inżynierze... Cholera jasna, za dużo was jest. Z każdym rokiem was przybywa. Państwo ludowe jest króliczarnią inżynierów. Przychodzą tacy chłopaczkowie jeszcze rozgrzani studiami i mają nas, doświadczonych pracowników, za śmiecie. Nas, od których powinni się wiele uczyć.

— Przecież...

— Wiem, wiem. Tyś nie taki. Jesteś w porządku. Znasz swoje miejsce. Ale oprócz ciebie miałem do czynienia z innymi. Szarogęsili się w mojej hali. Żebyś ty widział ich radość z mojego każdego najdrobniejszego potknięcia. Dałem im radę. Pokazywałem im prawie co dzień, że gówno umieją. Nienawidzili mnie. Dzisiaj pracują gdzieś w Polsce i komenderują — „panie, każ pan swoim ludziom..."

— Dajmy temu spokój, panie Walicki.

— To nie są takie proste sprawy. Młodym trzeba zwalniać miejsca pracy. Nieważne zasługi i doświadczenie. Kto nie uzupełni wykształcenia, musi pożegnać się ze stanowiskiem. A pytam się ciebie, czy ja powinienem się uczyć? Czy mało się nauczyłem przez pięćdziesiąt pięć lat życia? Jestem dziadkiem. Mam teraz chodzić do szkoły? Na pośmiewisko chyba.

— Pan przesadza. Nikt pana nie wyrzuci z pracy. Cenią majstra Walickiego.

— Co mi z tego. Niedługo przyjdzie taki dzień, w którym podziękują mi za pracę. Pięknie podziękują. Może nawet uderzą, że moje miejsce zajmie młody inżynier. Wykształcony. Żeby tylko do emerytury wytrwać.

— Skomplikowana sprawa...

*

Obiad rozleniwia. Zimne piwo jest niedobre, a jednak smakuje. Pali skóra na twarzy, piersiach i brzuchu. Trzeba wracać do domu. Może zajrzeć do Krystyny? Nie, nie dzisiaj. Zaraz będzie chciała na spacer, albo do kina, albo... Fatalnie spędzam ten rocznicowy dzień w Starachowicach. Nareszcie w własnym kąciku. Dziwne zmęczenie. I to nie przez upał. Za bardzo rozkleiłem się nad sobą. Będę czytał. W którym miejscu przerwałem „Patriotów"? Wygodne ułożenie na tapczanie. Strona 265. „Jeśli idzie o niego, dzień był skończony. Czekała go jeszcze tylko..." Powieki przymykają się samowolnie.

*

Ta sala w niczym nie przypomina tamtej Walickiego. Jest przede wszystkim o wiele mniejsza. Ludzie też inni. Przeważnie młodzi inżynierowie. Rzec by można — wśród swoich. Tylko, że nie mam tu ani jednego przyjaciela. Niby zżyłem się z nimi, a jednocześnie dzieli nas coś nieokreślonego.

— Kuba, może byś na mecz... — mówi Wacek, który pracuje przy projektach od początku.

— Nie mam ochoty.

— Słuchaj, stary, co ci jest? Pracujesz z nami przeszło pół roku. Na początku wydawało mi się, że jesteś zadowolony, a teraz widzę...

— A tobie jest dobrze?

— No pewnie. Siedzi człowiek, jak u pana Boga za piecem. Sprawdzi projekcik, przerysuje i z głowy. Nikt się specjalnie nie przyczepia. Nawet Borsaniak.

— Mam tego dość.

— Czego?

— Tej cholernej monotonii. Nie projektowania, a przerysowywania. Tego pokoju...

— A coś ty myślał, że od razu zrobią cię konstruktorem, naczelnym inżynierem? Za co? Za to, że przez dwa lata raczyłeś brać od nich po 650 zł miesięcznie?

— Musiałem. Nie było innego wyjścia.

— No to siedź teraz, bracie, cicho. Przemęczysz jeszcze rok, a potem możesz się wypiąć na Borsaniaka, na całą tę fabrykę.

— Tak jak ty.

— Żebyś wiedział. Nie jestem frajer. W tej dziurze muszę jeszcze być przez dwa lata. Ale nawiązałem już kontakt z Płockiem. Tam też potrzebują takich, jak my. Niech mi tylko dadzą mieszkanie, to od razu stąd wyfrunę. Choćbym miał spłacać to zasrane stypendium Starachowicom.

— Niełe to sobie wymyśliłeś.

— A co? Mam tu zmarnować jeszcze całe dwa lata? W dodatku za byle jakie grosze!

*

Zmusić się do Barłowa. „Patrioci" to przecież pasjonująca książka. Która to już godzina? Dochodzi dziewiąta. Galka w prawo. „Wiadomości z kraju i ze świata". Pichcenie kolacji. Herbata, kanapki, owoce... „Sytuacja w Wietnamie od wielu miesięcy niepokoi..." Wytworna nazwa brzmi — „wieczorna toaleta". Chodzi po prostu o to, by człowiek wlazł czysty do łóżka. Zasłony na oknach odgradzają od zmroku. Nocna lampka rozsiewa błogie światła. Niewiele jest rzeczy przyjemniejszych od papierosa po kolacji. Czyż odbijają się od zasłony. Przynajmniej pożytecznie zakończę ten dzień. Gdzie to było? Strona 265. „Jeśli idzie o niego, dzień był skończony. Czekała go jeszcze tylko zupełnie miła..."

*

— Kuba, masz iść do starego.

Świetnie się składa. Poproszę go o natychmiastowy urlop. Choćby kilka dni. Przepracowałem rok i mam pełne prawo...

— Proszę siadać — mówi Borsaniak.

— Mam prośbę...

— Chwileczkę. Przepraszam, że przerwałem, ale to ja pana wezwałem i dlatego pozwolę sobie pierwszy zabrać głos. Chciałbym prosić pana o pewną przysługę. Od kilku miesięcy męczę się przy usprawnieniu projektu elektrotechnicznego rozwiązania dla wszystkich, całościowo pojętych, hal produkcyjnych naszej fabryki. Gigantyczna praca. Sam nie dam rady. Więc, gdyby pana mógł poświęcić trochę czasu, to razem chyba udałoby się nam. Ale, pan też o coś prosił.

— Nic. Nic. To drobiazg.

Dlaczego mam ochotę klepnąć tego człowieka w plecy.

Tadeusz Wiącek

Kielecki Sejmik Kultury

Co napisałby Żeromski?

TADEUSZ BARTOSZ

...Ulice były puste, sklepy zamknięte. Ciepłe przeciągi wiatru szły wzdłuż i wpoprzek Ławca, topiąc do reszty śnieg zmokły, czarny, obracając bruki w topiele i bagna. Na dachach, szczytach murów, między drewnianymi budynkami, w okolicy śmietników i stajen wałęsała się para. Zewsząd leciały i płynęły strugi nie tyle wody, ile brudnej cieczy. Tam rynna, przed laty pęknięta darzyła obfitą w igocią ścianę przylegającą i brzydka plama z odcieniem zielonkowatym niby głębokie rozranienie gniła się na froncie starego domu...

...Zmrok padał i ukrywał w sobie cały Ławiec od przedmieścia do przedmieścia. W krzywych ulicach i na rynkach płonęła gdzieniegdzie latarnia kopcąc bez ustanku, jakby to stanowiło jedyną jej rozrywkę, w trakcie modnej misji oświetlania dziur ławieckich..."

* * *

Takie były Kielce widziane oczami Jana Raduskiego, kiedy po latach kilku wrócił do Ławca rodzinnego, przejęty czułością do miejsc biedą zmiętych, ale swoich przecież i kochanych.

Nic się tu przez lata całe nie zmieniało, tak jak nic nie zmieniało się w Kieleczyźnie. Były, prawda, i „za sanacji" fabryki — była w Ostrowcu huta, w Starachowicach, Skarżysku i Radomiu zakłady metalowe, w Kielcach ludwikowskie gisernie... Ale — pracowali w nich tylko nieliczni, wybrani z całego morza bezrobotnych. To stąd, z jędrzejowskiego powiatu, z wiejskiej biedy wyjeżdżać musiał Jan Śladkowski na daleką Łotwę, chleba kawałka szukać na roli u obcych. Dzisiaj tysiące Śladkowskich przyjeżdża do nowych, rozbudowanych fabryk, przenosi się ze wsi do bloków przy fabrykach, dla nich zbudowanych. Dwadzieścia lat, tylko dwadzieścia lat, wystarczyło dla kompletnego odnowienia, odbudowania tej ziemi historycznej, dla rozkwitu życia kulturalnego jej mieszkańców. W drugiej Rzeczypospolitej mieliśmy na Kielecczyźnie sto tysięcy ludzi podpisujących się trzema krzyżykami, a wojna spaliła nam trzysta szkół.

Dwadzieścia lat wystarczyło, aby zbudować ponad pięćset różnych szkół, aby w liceach ogólnokształcących mieć dwadzieścia trzy tysiące chłopców i dziewcząt, aby w 1965 roku stwierdzić, że tu, na tej ziemi, pięć tysięcy ludzi, stale pracujących, zdobywa wyższe wykształcenie.

O tych i o wielu innych sprawach i wydarzeniach mówiło się na listopadowym Sejmiku Kulturalnym Ziemi Kieleckiej. Zgromadził on ludzi, którzy wyznają prawdę, że rozwój naszej gospodarki, przemysłu i rolnictwa rodzi nowe, zwiększone zapotrzebowanie na kulturę we wszystkich jej formach i gatunkach, że ludzie chcą coraz więcej — czytać dobre książki i czasopisma, oglądać przedstawienia teatralne i filmy, chodzić do muzeów i na wystawy, słuchać koncertów.

W swym powitalnym przemówieniu przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, inż. Antoni Mierzwiński stwierdził, że celem, dla którego zebrał się Sejmik działaczy kulturalnych, jest omówienie perspektywicznego planu rozwoju kultury w województwie kieleckim, określenie miejsca środowiskowych stowarzyszeń kulturalnych w procesie rozwoju życia kulturalnego. Żywy rozwój ekonomiczny Kieleczyzny spowodował nie mniej bujny rozwój życia kulturalnego, wielką aktywność wielu ludzi, którzy sami też mają szlachetne ambicje tworzenia kultury.

* * *

Koszyce i Skalbmierz. Dwie miejscowości, dwie różne atmosfery. Koszyce nie mają praw miejskich jak Skalbmierz, ale mieszkańców mają tyle chyba, co ich sąsiad w tym samym powiecie.

W Koszycach świat deskami zabity. W przenośni i dosłownie. Od niedawna do Koszyc próżno byś list pisał — nie dojdzie, próżno byś tam chciał zadzwonić — nie połączysz się. Jedynie tylko z milicją, ta ma osobną linię telefoniczną. W Koszycach niedawno zamknięto pocztę. Tak, najzwyklej w świecie, wzięli i zamknęli. Przyjechał kiedyś z lubelskiej dyrekcji pocztowej techniczny inspektor, pochodził, popatrzył, widzi — sufit na poczcie popodpierany jak na filarze w kopalni drewnianymi stemplami i „kapy" poprzeczne ma, wszystko jak się patrzy, według górniczego moderunku... Sufit słaby, groził spadnięciem na głowy naczelnika i dziewcząt z okienek, więc go podparto. W Koszycach nieprędko jeszcze wystawią dom dla poczty, łatać więc trzeba jak się da w zmurszałym opuszczonym mieniu... Byle do wiosny, powiedzieli sobie pocztowcy, kiedy o kapitalnym remoncie można będzie pomyśleć.

Ale inspektor innego był zdania. Zamknąć pocztę, w takich warunkach nie można pracować. A usługi dla obywateli? W Debieściwicach jest najbliższy urząd. Najbliższy? 8 kilometrów.

W Koszycach ludzie są apatyczni, nigdzie ich nie wyciągniesz. Do klubu „Ruchu" przychodzi jeden jedyny numer „Życia Literackiego", pani Buksina mówi, że z reguły zwraca go. O „Kamenie" słyszy pierwszy raz. Nie przychodzi tu taka. Gdyby napisać coś o Koszycach, to pewnie by kupili.

Nauczycielka, którą redakcyjny kolega spytał o Iwaszkiewicza, odpowiedziała, że nie, bo nie lubi czytać... rosyjskich pisarzy. Wmawiałem wstrząśniętemu i ostatecznie zaiamanemu, że nauczycielka pewnie z niego zakpiła, bo po co jej zadaje takie naiwne pytania...

Takie są Koszyce. A jaki jest Skalbmierz?

Odwiedziłem przed kilku dniami tamtejszą bibliotekę. Wieczór był, śnieg ciął gęsty, w bibliotece tłoczyli się chłopcy z Zasadniczej Szkoły Zawodowej. Janina Urantówka, młoda uśmiechnięta bibliotekarka, doradzała troskliwie, ale kiedy chłopcy domagali się książek o partyzantach, obdarzyła ich „Barwami walki", „Paprocie zakwitły krwią partyzantów" i czymś tam jeszcze.

Czterystu namiętnych czytelników figuruje na kartach bibliotecznych w Skalbmierzu. Kiedy grali w Kazimierzy Wielkiej „Popioły", ludzie z rąk sobie wydzierali wielką powieść Żeromskiego, jedni po raz pierwszy, a inni na nowo śledzili na kartach książki losy Rafała i Krzysztofa, porównywali z filmem. Można sądzić, że w Skalbmierzu toczyła się o filmie Wajdy dyskusja nie mniejsza wcale od tej w „Kulturze".

* * *

Jak już zebrało nam się na wieczorne spacery, to i poszliśmy odwiedzić „prezydenta" tego 700-letniego gródka, w jego mieszkaniu. Władysław Porębski opowiedział nam o swoich pasjach. Kulturalne ma pasje przewodniczący Miejskiej Rady. Jest tutaj zespół dramatyczny, amatorski. I on, przewodniczący, jest jego duszą, organizatorem i... aktorem. Wystawili tu latem, na lipcowe akurat święto — „Skalmierzanki" wodewil z życia sfer kmiecych, Jana Nepomucena Kamińskiego. Boże ty mój, co tu się działo! Nie mieli zgranej orkiestry, zganiali więc z sąsiednich wsi, skąd tylko się dało, wszystkich wiejskich Janków Muzykantów — fleciarzy, klarnecistów, skrzypków i basistów po weselach i strażackich zabawach muzykujących, i oni to stworzyli dla „Skalmierzanek" orkiestrę. Porębski zagrał jedną z głównych postaci, ekonoma Sapibrzucha, ugadującego się z Marcinową o córkę jej — Dosię.

I wiele jeszcze innych dobrych rzeczy dzieje się na niwie kulturalnego życia Skalbmierza. Zorganizowali Uniwersytet Powszechny, chmara ludzi na wykłady i odczyty przychodzi. Mają własnych wykładowców — raz lekarz, to znów prawnik, nauczyciel.

Na wiosnę będzie u nich to 700-lecie. Przygotowują się do niego! Rodak miejscowy szperał tu mozolnie w dokumentach, za którymi na plebanię nawet trafił, napisał monografię miasteczka, magistra historii za nią otrzymał.

No więc chyba ludzie. Oni tworzą kulturę, działają i do tego działania wciągają innych. W Koszycach jest młody kierownik świetlicy, Alfred Zuwała, który ma szerokie plany poruszenia stojącej wody, wciągnięcia do kulturotwórczych działań nauczycieli, lekarza, pracowników Gromadzkiej Rady. Zobaczymy co uda się zrobić Zuwale, niecierpliwcowi, którego dręczy martwota i obojętność.

Bolesław Wojewódzki, kierownik wydziału kultury opoczyńskiej Rady Powiatowej, sam poeta, miłośnik folkloru, ludowej gwary i historii, od wielu lat walczy o uczynienie w Opocznie muzeum Opoczyńskiej Ziemi — w zymku, który największy wśród naszych królów Casanova pobudował, kiedy do pięknej Esterki w amory tutaj uderzał. Uda się to panu Bolesławowi na pewno; można powiedzieć, że jest już z tym swoim muzeum prawie u mety. A póki co, ten „zakochany w kulturze", jak o nim w Opocznie mówią, człowiek, latem tego roku wyprawił huczne i bajecznie kolorowe Dni Opoczyńskiego Folkloru, a jesienią Dni 900-letniego Zarnowa, na które profesor Herbst ze swoim asystentem przyjechał i nawet tęgą mowę o życiorysie Żarnowa palnął.

(Dokończenie na str. 7)

Kartki z Tysiąclecia

Twierdza Zamość

ADAM ANDRZEJ WITUSIK

HISTORIA powstania Zamościa jest wręcz imponująca. Przywilej lokacyjny dla Zamościa wydany został 3 kwietnia 1580 r. Tereny pod miasto wyznaczono w miejscu, w którym dotychczas nie istniało żadne osiedle. Już w 11 lat później Zamość posiadał 275 domów, w tym 217 w śródmieściu, 32 na Przedmieściu Lwowskim i 26 na Przedmieściu Lubelskim, a w wydanym w 1618 r. dziele G. Brauna: „Thaetri praecipuarum totius mundi urbium" jego widok i opis znajduje się na równi z najstarszymi i największymi miastami europejskimi. Ponieważ Zamość miał spełniać rolę nie tylko ekonomiczną, lecz także militarną, stojąc na straży południowo-wschodnich kresów Rzeczypospolitej, należało go więc obwarować. Pełna realizacja systemu obronnego, nakreślona przez głównego architekta, Włocha Bernarda Morando, została zakończona w r. 1618. Miasto otoczył wówczas mur obronny najeżony 7 bastionami, a ponadto od południa zabezpieczał je duży staw, od zachodu podmokłe łąki, od północy i wschodu szeroka fosa. Twierdza ta swą pierwszą próbę bojową miała przejść w listopadzie 1648 r.

Wrześniowa klęska pod Pilawcami usunęła wojskom kozacko-tatarskim ostatnią zaporę na drodze ku ziemiom rdzennie polskim. Rozpoczęty w Warszawie 6 października 1648 r. sejm elekcyjny przebiegał w atmosferze ostrych sporów o to, który z magnatów był sprawcą klęski pilawieckiej, a nadchodzące wiadomości o nowych zwycięstwach wojsk ukraińskich potęgowały do maksymalnych granic dezorganizację wśród magnaterii i szlachty, zagrożonej jednocześnie przez polskie chłopstwo. *„Stan Rzeczypospolitej rozpaczliwy"* — donosił swemu przyjacielowi w drugiej dekadzie października poseł francuski d'Arpajon.

W tym samym czasie, kiedy w Warszawie odbywało się inauguracyjne posiedzenie sejmu elekcyjnego, Bohdan Chmielnicki przystąpił do oblężenia Lwowa. 26 października, po otrzymaniu okupu od oblężonych, Chmielnicki skierował swe kroki w kierunku Zamościa. Spod Lwowa wyruszył on z mocno uszczuplonym stanem liczbowym armii — 23 października opuścili bowiem Chmielnickiego główne siły wojsk tatarskich pod dowództwem kałgi Krym Gireja, które obarczone jasyrem udały się z powrotem na Krym. Pozostał jedynie przy nim ze swą ordą Tuhaj-bej. Po tygodniowym marszu Chmielnicki doszedł do Tomaszowa. „Język" schwytany przez podjazd podsędka bełskiego, Aleksandra Romanowskiego, oceniał liczebność armii Chmielnickiego na *„nie więcej niż 100 000 ludzi"*.

Tymczasem Zamość przygotowywano do obrony: wzmacniano mury, gromadzono żywność. Duże kłopoty sprawiało przede wszystkim to ostatnie. Podskarbi zamojski, Jerzy Szornel, w swym liście z dnia 25 października adresowanym do prymasa Macieja Łubieńskiego, pisał: *„żywności defectu obawiamy się, której z daleka zaciągać przed nieprzyjacielem wszędzie rozproszonym nie można, z bliska zaś wielkie mnóstwo ludu z Ukrainy, z Podola, z Wołynia zbieżałego także i wojsk teraźniejszych skupionych już ogołociło; w gumnych tylko pańskich i szlacheckich bliskich zostawa nadzieja jeśli nieprzyjaciel pozwoli"*.

Już 28 października mieszkańcy Zamościa nie mieli najmniejszej wątpliwości, że będą musieli spotkać się z przeciwnikiem. Do rozpoznania sił nieprzyjaciela z twierdzy wysłano silny podjazd pod dowództwem podsędka bełskiego Aleksandra Romanowskiego. Podjazd ten po udzieleniu odsieczy Bełzowi został podzielony na dwie części: jedna powróciła szczęśliwie z wiadomościami do Zamościa, druga zaś w sile *„rajtarów i dragonów nad dwieście"* została skierowana na odsiecz Narola. Po drodze została ona rozbita przez wojska tatarskie. *„Mało co dragonów moich i rajtarów uszło z tego pogromu"* — pisał o tej potyczce do Zamościa podsędek bełski.

Tymczasem nadal koncentrowano wysiłki nad ostatecznym przygotowaniem twierdzy do obrony. Front przybliżał się nieuchronnie wywołując coraz większy niepokój w mieście. Dowódcy twierdzy: margrabia Władysław Myszkowski i kasztelan elbląski, Ludwik Weyher, wysłali 4 listopada alarmujące listy do naczelnego wodza, wojewody ruskiego, Jeremiego Wiśniowieckiego, z prośbą o pomoc.

Widok Zamościa w XVIII wieku.

W Zamościu dokonywano ostatnich „zabiegów kosmetycznych" przed jego „rendez-vous" z armią nieprzyjaciela — palono przedmieścia, tarasowano ziemią i kamieniami bramy i furty. Liczba obrońców oraz siła ogniowa, jaką dysponowała twierdza, była zadowalająca. W sumie bowiem Zamość rozporządzał siłą około 45°0 obrońców, w tym 2120 piechoty, 200 rajtarów, około 1400 szlachty i około 1000 mieszczan.

6 listopada stanęły pod Zamościem pierwsze oddziały wojsk Chmielnickiego. Obrona, gdyby nawet liczyć na odsiecz, którą miał zorganizować wojewoda ruski, Jeremi Wiśniowiecki, nie stanowiła łatwego zadania, mimo że Zamość był dobrze ufortyfikowaną twierdzą. Miasto bowiem miało dwa nader istotne mankamenty: było przepełnione uciekinierami i nie posiadało dostatecznych zapasów żywności, potrzebnych w wypadku długotrwałego oblężenia.

Bohdan Chmielnicki stanąwszy pod Zamościem przystąpił natychmiast do rokowań; początkowo operował perswazją. W liście do szlachty i mieszczan Zamościa pisał 6 listopada: *„Życzymy tego, abyście WMść wojny z nami nie chcieli i dobrą wolą, jako Lwowianie, zgodzili się na okup, a my WMciom ślubujemy, że zaraz za wszystkimi wojskami i ordami od miasta odstąpimy i włos z głowy WMciom nie spadnie"*. W tym samym dniu wysłał on do Zamościa drugi list, adresowany do kasztelana elbląskiego, Ludwika Wevhera, dowódcy wojska autoramentu cudzoziemskiego z propozycjami przejścia na jego stronę. Odpowiedzi, które otrzymał na obydwa listy, były zdecydowanie negatywne.

Nazajutrz 7 listopada *„ogarnęła horda wszystkie pola koło Zamościa"* — jej łupem stały się olbrzymie ilości bydła i koni, których nie zdążono wprowadzić do miasta. Wojska kozacko-tatarskie wykorzystując dym dopalających się przedmieść, zajmowały pozycje w pobliżu murów twierdzy a puszkarze zamojscy prowadzili bezustanną kanonadę ze swych dział *„z nie małą nieprzyjacielską szkodą"*.

Chmielnicki nadal prowadził z oblężonymi pertraktacje, usiłując namawiając ich do okupu. Odpowiedzi i tym razem przychodziły zdecydowanie odmowne. *„Skarbów tu niczyich u nas nie masz* — replikowali oblężeni w liście z dnia 7 listopada — *z których by Tatarom zapłata należała się"*.

Wobec takich „dicta acerba" Bohdan Chmielnicki postanowił poprzeć rokowania argumentami militarnymi — był to w stanie uczynić, ponieważ w tym czasie nadciągnęła artyleria kozacka. Jeszcze tego samego dnia wysłał do oblężonych bardzo surowy list: *„Mówicie, dla Tatarów nie macie żadnych skarbów. Dobrze oni sobie nagradzają i głowami waszemi, jako żonami, tak i dziatkami. Nie rozumiejcie tego, abyśmy tylko pod Zamoście przyszli, mam w Panu Bogu nadzieję, że Pan Bóg Wszechmogący przez jedno lato tę zimę, jakoście wiele z nas przez 10 lat brali, na-*

(Dokończenie na str. 6)

Fragment powieści „Niespokojny Zachód"

ADOLF LEKKI

Szukam mordercy

Panie, posuń się pan kawałek, bo spadnę. Jak Boga kocham oblepili ten pociąg niby pszczoły matkę, nawet na dachu nie ma miejsca. Posuń się pan, powiedziałem. Widzicie go, bydle by zrozumiało, a on nie. Posuń się człowiecze, bo strącę!

Ostatnie słowa odnosiły się do młodego człowieka ubranego w wypłowiały mundur wojskowy. Wskoczył on na dach wagonu i nie zwracając uwagi na protesty współpasażerów usadawiał się w najlepszym miejscu, tuż obok komina wywietrznika dającego mocne oparcie i niejakie schronienie przed podmuchami wiatru. Nowy nie ulął się pogróżki, ba, nawet uśmiechnął się wpół drwiąco.

— Jak ja pana strącę — powiedział — to dzieciaki do sądnego dnia będą na tatusia czekać. Mądrala się znalazł, takiego jeszcze na Zachodzie nie widzieli.

Ułożył się wygodnie, zmrużył oczy. Tylko baczny obserwator mógłby zauważyć, że czujnym spojrzeniem zlustrował otoczenie. Widocznie nie dostrzegł interesującej go twarzy, bo splunął i półgłosem zaklął ordynarnie. Zaczął słuchać prowadzonych na dachu pociągu rozmów.

Chłop, ubrany mimo pełni lata w grubą jesionkę, mówił do swego sąsiada:

— W Lubelskiem mogłem dostać kawał ziemi od nowej władzy, ale mnie sumienie ruszyło. Hrabia nie hrabia, zawsze to człowiek. Po co jego krzywdą obciążać sumienie? Poszedłem więc do Związku Zachodniego, dostałem skierowanie i jadę. Kupię nie kupię — potargować można. Chciałbym większe gospodarstwo, jakieś dziesięć hektarów. Rodzina duża, jest komu pracować. Podobno na Zachodzie są wolne budynki, a nawet inwentarz czeka. Mam ze sobą odezwę, wyciąłem ją z gazety. Czytaj pan: *„Chłopi! Nie musicie już emigrować za morze. Nowa Polska ma dla was dosyć chleba w Ojczyźnie. Chcecie ziemi — na Zachodzie jest ziemia. Miejska ludność znajdzie na Zachodzie porzucone przez Niemców placówki rzemieślnicze i sklepy, inteligencja zawodowa — pracę w biurach i urzędach...".*

— No widzi pan — dokończył ten sam rozmówca — „chcecie ziemi". A który chłop jej nie chce?

Mężczyzna w wojskowym mundurze już zamierzał wtrącić się do rozmowy, gdy na skraju dachu ukazała się twarz starszej kobiety. Bóg jeden wie, jak zdołała pokonać wąską, pionową drabinkę — fakt, że wystawiła głowę i zaczęła mówić głosem przepojonym prośbą:

— Ludzie kochane, pozwólcie choć na minutkę. Tam, w środku, nie można wytrzymać. Smród i zaduch, aż mnie zemgliło. Pozwólcie dobre ludzie, bo wrócić już nie mogę. Naród teraz nieustępliwy.

— Nie trzeba ludzi prosić, rozpychać łokciami, o, tak! — doradził kobiecie wojskowy. Uzyskał teraz tyle miejsca, że bez trudu mógł zmieniać pozycje.

Wlecze się na Zachód pociąg-nędzarz i oglądą okolicę malutkimi oczkami wyciętymi w dykcie zastępującej okienne szkło. Wlecze się apatycznie, ospale; przepędzają go na boczne tory transporty wojskowe, dla których ciągle się pali zielone światło, nie uznaje żadnego rozkładu jazdy, przyśpiesza bieg z górek, zwalnia przy każdym wzniesieniu. A wzniesień i górek jest coraz więcej. Od Katowic — przez Zabrze, Gliwice ruch jest duży, a teren płaski. Dalej — kraj ciężko ranny na wojnie i nawet piękno okolicy nie może złagodzić uczucia grozy na widok ruin i pustki. Chłopaki wóz tkwiący przed zamkniętym szlabanem pasażerowie witają z entuzjazmem. Pokrzykują, machają rękami, obiecują woźnicy sąsiedztwo.

Wlecze się na Zachód pociąg-widmo chwiejąc się na zwrotnicach, stukając ciężko w łącza szyn: na-za-chód-na-za-chód...

Słońce zniża się coraz bardziej. W przepełnionych wagonach milknie gwar i śpiew. Szemrzą jeszcze jakieś wspomnienia i zwierzenia, lecz przycichają, nikną. W powietrzu, ciężkim od dymu tytoniowego i spoconych ciał ludzkich, oczy wcześnie kleją się do snu. Na pasażerów, którzy umieścili się na dachu wagonu, spada strach. Okrywają się szczelnie płaszczami i kocami, wtulają w każdą szczelinę, w każde wgłębienie. Przeżyli już chwilę grozy.

Mężczyzna w wojskowym mundurze trącił lekko w ramię młodą kobietę siedzącą obok niego.

— Widziała pani, jak strącilo trzech ludzi?

— Nie.

— Jak można było nie widzieć. Stali na dachu odwróceni tyłem do parowozu. Pod tamtym wiaduktem, który niedawno minęliśmy, zmiotło ich jak wiatr zeschłe liście, użyli frajerzy Zachodu.

Stara kobieta zaczęła biadolić:

— Miałam dobre miejsce w środku, a wyliczam na ten przeciąg. Bez kataru się nie obejdzie. Ludzie kochane pomóżcie starej.

Co za głupia starość pcha się na Zachód. Wojskowy zdjął płaszcz, otulił się nim szczelnie. Po chwili uniósł jedną połę.

— Niech się pani przytuli do mnie — powiedział do sąsiadki. — Będzie cieplej.

Młoda kobieta wzruszyła ramionami. Skuliła się jeszcze bardziej, odsunęła od natręta na ile tylko pozwalał tłok. Roześmiał się.

— Boimy się, prawda? Jak by nie było czasu na wykorzystanie całego zapasu strachu, jaki Bóg przeznaczył człowiekowi na życie.

— Proszę mnie zostawić w spokoju.

— O, jaka ważna! Że też każda z was jest taka głupia i zwykły ludzki odruch traktuje jako zamach na swoją cnotę.

— Że też każdy z was jest taki głupi i rzeczywisty cel maskuje kłamstwem o „ludzkich odruchach".

— O! — zdziwił się. — Ładna odpowiedź. Ale tym razem pomyliłaś się. Nie miałem nic złego na myśli, a cieplej będzie.

Nie zwracając uwagi na słaby protest kobiety, okrył ją połową płaszcza. Narastająca ciemność, zimno i lęk były jego sprzymierzeńcami.

— Daleko jedziesz?

— Do Głubczyc.

— Gdzie to jest?

— Daleko na Zachodzie... A pan?

— Daj spokój z tym „panem". Michura jestem. Stanisław Michura. A jadę przed siebie.

Pociąg zwiększył szybkość. Michura umilkł. Przez chwilę wsłuchiwali się w miarowy stukot kół, drżenie przebiegające stary przeciążony wagon i w ludzkie pogwarki. Facet w niebieskim kombinezonie roboczym mówił:

— Początkowo bralem tylko złoto, srebro i kryształy. Ale ten interes już się skończył. Gdzieś dalej na Zachodzie można jeszcze znaleźć ciuchy, zegary i inne drobiazgi ale ja się na to nie dam nabrać. Szukam tylko motorków elektrycznych. Przecież musi przyjść taki czas, że się Polska drutami obwinie i moim zdaniem przyjdzie nie zadługo. Trzeba myśleć przyszłościowo.

Ktoś inny zmęczonym głosem mówił:

— Rodzina żyła za Bugiem, a ja wojowałem, teraz jeżdżę od miasta do miasta i szukam swoich. Powiedziano mi, że ich transport repatriacyjny skierowano za Wrocław...

Młoda kobieta oswoiła się nieco z sytuacją. Ułożyła się wygodniej, podniosła kołnierz swego płaszczyka, aby osłonić się przed lodowatym strumieniem powietrza.

— A pan — zapytała — też poszukuje rodziny?

— Czy wyglądam na takiego?

— Pewno, że tak. Zauważyłam pańskie spojrzenia. Spogląda pan na ludzi jak detektyw z książki, albo policjant goniący złodzieja.

— Domyślna jesteś. Słowo daję, że jesteś domyślna. Masz rację — mówił zmienionym głosem — szukam kogoś i znaleźć nie mogę, choć szukam pilniej niż policjant złodzieja, pilniej niż szukałbym matki. Do końca życia będę święcił dzień, w którym go znajdę. A może chcesz wiedzieć wszystko? Pytaj, nie będziesz musiała zgadywać.

— Nie jestem ciekawa.

— A ja i tak powiem. Szukam mordercy moich bliskich.

— Mordercy!

— Nie krzycz. Właśnie tak, jak powiedziałem. Wiem, że trudno ci w to wierzyć, że możesz to potraktować jako kiepski kawał, ale to prawda i nic się zmienić nie da.

Z bocznej kieszeni munduru Michura wydobył woreczek z tytoniem i kawałek gazety. Osłaniając się przed wiatrem skręcił grubego papierosa. Zapalił, zaciągnął się dymem. Opowiadał spokojnie jak by nie jego dotyczyło to wydarzenie:

— Przyszli do mego domu po szóstej rano, dwóch policjantów w mundurach i jeden cywil. Zastrzelili brata, matkę i ojca.

— Za co?

— Ba, gdybym ja wiedział. Zastrzelili i koniec. Nie wiesz, jak było? Nie przeżyłaś wojny?

— Lecz przecież musiał być jakiś powód.

— Tylko ten, że ja nawiałem z ich obozu pracy i ukrywałem się przed policją. Za to zastrzelili trzy najbliższe mi osoby, bez sądu, bez wyroku

— To straszne.

— Wtedy myślałem, że nie przeżyję swojego nieszczęścia. Nieraz walilem łbem o drzewa wyrzucając sobie tę śmierć. Później, już w partyzantce, trochę mi ulżyło. Nie było czasu myśleć o własnym nieszczęściu, gdy w koło ginęli ludzie. Ale nie myśl, że zapomniałem o mordercach. O, nie! Łatwo ustaliłem nazwiska policjantów, bo służyli na posterunku w mojej miejscowości. Trudniej mi było dowiedzieć się cokolwiek o cywilu. Miałem jednak szczęście. Mój cywil okazał się nie lada figurą. Był „untersturfführerem" w zamojskim gestapo. Piękny kryminał można by napisać, jak zbieralem o nim informacje. Dowiedziałem się, że pochodził z Neustadt, to miasto dzisiaj nazywa się Prudnik. Jadę tam właśnie, może spotkam drania.

— Ależ to nonsens. Ten morderca mógł zginąć sto razy, mógł wycofać się do Amerykanów, mógł się ukryć w stu innych miastach, mógł...

— Mógł, mógł. Zgadza się. Ale on do chwili wyzwolenia Zamościa żył i gnębił ludzi. To jest pewnik. Wyjechał tuż przed nadejściem frontu, o że front przesuwał się bardzo szybko, jego ucieczka do Amerykanów odpada. Musiał zostać na tych terenach, a każdy człowiek ma już taką naturę, że ciągnie do domu. Dlatego nie przestanę go szukać, aż spojrzę mu w oczy, albo przekonam się niezbicie o jego śmierci. Och, jak bardzo chciałbym go spotkać, przypomnieć mu rodziców, brata, zapytać go, czy sprawiło mu radość mordowanie ludzi, a potem patrzeć na jego konanie.

— Boli! — zawołała cicho kobieta. Michura podniecony wspomnieniem ściskał jej ramię od dłuższej chwili.

— Nic ci nie będzie — powiedział. — Od tego się nie umiera.

— Ale siniak zostaje.

Nie odparł nic, a ona zastanawiała się nad jego nierealnym przedsięwzięciem. Zdumiewał ją i przerażał zarazem ogrom nienawiści, którą łatwo można było wyczuć, mimo pozornego spokoju Michury.

— O czym myślisz? — pierwszy przerwał milczenie.

— Myślę, że gdyby każdy skrzywdzony podczas wojny szukał dzisiaj sprawcy swoich nieszczęść, ten świat byłby sto razy gorszy niż podczas wojny.

— Filozofka z ciebie. Może masz rację, nie zmieni to jednak mojego postanowienia, więc nie rozmawiajmy na ten temat.

Pociąg wdrapywał się na jedno z licznych wzniesień. Parowóz sapał, dmuchał z wysiłku kłębami dymu zmieszanego z miałem węglowym, wlókł za sobą czerwonokrzyżowy warkocz. Podróżujących na dachu smagał wiatr, smaliły sadze, przenikało zimno, parzyły iskry, a nad wszystko dławił strach. Milczeli rejterujący tylko jedną myślą — aby wytrwać, doczekać świtu bądź końcowej stacji. Kobieta, dręczona niewesołymi myślami, zapytała Michurę:

— I nie zostawił pan w domu nikogo bliskiego? Nikogo?

— Nie mam domu i nie mam nikogo bliskiego. Przestań wreszcie mówić o mnie. Opowiedz lepiej, jakie licho rzuciło cię na dach tego wagonu?

— Niewiele mam do opowiadania. Jestem repatriantką z Ukrainy. Nasz transport stoi na stacji kolejowej w Głubczycach. Skorzystałam z tego, że postój potrwa kilka dni i pojechałam do Gliwic. Ludzie mówili, że tam łatwo o mieszkanie i pracę.

Michura roześmiał się w głos.

— Oto kobieca logika. W koło, gdzie tylko spojrzeć, są wolne mieszkania, ziemia aż się prosi o parę zdrowych rąk, a ona jedzie na dachu do Gliwic „bo ludzie mówili".

— Nie ma w tym nic śmiesznego. W Gliwicach mieszkają moi znajomi. Chciałam być bliżej nich.

— Nie wyszło?

— Nie mogę się zdecydować. Jestem z matką. Ja chcę do miasta, ona woli wieś. Jeszcze się naradzimy.

— Dobre z ciebie dziecko — powiedział takim tonem, że nie zrozumiała, czy drwi z niej, czy pochwala. — A dla mnie nie jesteś dobra. Ja się przedstawiłem, a ty nie powiedziałaś nawet swego imienia.

— Nie wstydzę się go. Zofia Drozdówna.

— A więc Zośka. Klawo. Lubię to imię.

Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce. Budynek był częściowo zniszczony pociskiem artyleryjskim. W ocalałych pomieszczeniach paliły się lampy karbidowe. Z dachu i z okien wagonów stoczyło się kilka postaci wprost na wyrzucone wcześniej toboły. Dyżurny ruchu dał znak. Wagony wyładowane ponad brzegi ludzką tęsknotą, nadzieją i wiarą drgnęły, ruszyły z miejsca, potoczyły się szybciej, coraz szybciej, aż wpadły w swój stały rytm: na-za-chód-na-za-chód.

Twierdza Zamość

(Dokończenie ze str. 5)

grodzi z łaski swojej świętej z waszych majętności. Spodziewacie się na jaki posiłek, nie wiem, jeśli go doczekacie". List ten zakończył pierwszą fazę rokowań między oblegającymi a oblężonymi. Nadzieja na szybkie porozumienie rozwiała się. Bohdan Chmielnicki odjechał spod murów twierdzy do swej kwatery we wsi Łabunie odległej o 1,5 mili od Zamościa, by stamtąd kierować dalszymi działaniami wojennymi.

Noc z 7 na 8 listopada spędziły ob'e strony bezsennie — obrońcy czuwali na murach i wałach obawiając się zasadzek wroga, zaś wojska Chmielnicklego były zajęte gruntownym plądrowaniem okolicznych wiosek.

Następny dzień w sytuacji oblężonych i oblegających nie przyniósł w zasadzie żadnych zmian. Wojska kozacko-tatarskie umacniały zajęte pozycje oraz ostrzeliwały Zamość z dział, a oblężeni starali się im przeszkodzić zasypując ich gradem kul. Ostrzeliwanie miasta, które rozpoczął Chmielnicki, nie wyrządziło twierdzy większych szkód. *„Z naszych tylko jeden zabity w mieście* — relacjonował dworzanin zamojski — *a drugi z samopału; w kamienicach zaś, w zamku i w kościele znaki tylko poczyniono od kul".*

Artyler'a zamojska nadal ostrzeliwała przeciwnika. W nocy z 9 na 10 XI wojska Chmielnickiego przypuściły szturm od Przedmieścia Janowickiego, *„ale ich z armaty odparto".* Następna noc również upłynęła pod znakiem Marsa. *„Dnia 10 listopada o północy znowu okrutny okrzyk uczyniono, ale prędko ucichli"* — zanotował jeden z oblężonych.

Chmielnicki zdawał sobie sprawę, że Zamość, pozbawiony nadziei na szybką odsiecz oraz możliwości zaopatrywania się z zewnątrz w żywność, prędzej czy później będzie zmuszony złożyć okup, jeśli nawet nie broń. Dobrze ufortyfikowana twierdza i zaciekła obrona oblężonej załogi narzucały odpowiednią taktykę walki — grę na zwłokę. Słusznie sądził, że nie warto narażać wojska na duże straty, które były — jak się okazało — do uniknięcia. Dlatego też Chmielnicki — mimo silnej opozycji „wściekłych" na czele z obożnym Czarnotą, którzy bezwzględnie domagali się podjęcia stanowczych kroków — nie przypuszczał do twierdzy generalnego szturmu.

Zamość wzięto w blokadę. *„Opasał Chmielnicki naokoło Zamościa w kilkanaście tysięcy wojska i działka także porozsadzał* — pisał naoczny świadek oblężenia — *a obległszy tak gęsto i potężnie sam z Tuhaj-bejem i z pułkownikami znaczniejszymi zostawszy... resztę posłał w różne strony, którzy z wielkimi stadami i z wielkim plonem przez cały czas idą".*

Istotnie, oddziały Chmielnickiego *„ogniem i mieczem pustoszące"* rozlały się szeroko po terytorium województwa lubelskiego, docierając do Lublina, Sandomierza, Kazimierza nad Wisłą. Oddziały te aprowizowały armię oblężniczą oraz były doskonałą osłoną dla oblegających przed ewentualną odsieczą.

Oblegający czynili przygotowania do generalnego szturmu a artyleria zamojska prowadziła kanonadę. Jeden z oblężonych zanotował: *„Tak przez tydzień ucierałimy się z obu stron gotując się my na resistetie szturmowi, a oni do szturmu drabiny srogie i szerokie z dębów całych ociosując".*

W Zamościu dotkliwie zaczęto odczuwać głód i choroby. Sytuacja ta stawiała dalszą obronę pod dużym znakiem zapytan.a. W takim stanie rzeczy propozycje Chmielnickiego o złożeniu przez oblężonych okupu zaczęły nabierać szans powodzenia. Dowództwo Zamościa zdawało sobie sprawę, że w obecnej sytuacji dalsza obrona miasta z wojskowego punktu widzenia jest wręcz bezsensowna. Brak bowiem szans na odsiecz musiałby doprowadzić wcześniej czy później do kapitulacji.

Po kilkudniowej przerwie nastąpiła druga faza rokowań. 11 listopada o godz. 2 po południu przybył do Zamościa poseł Chmielnickiego ks. Mokrski z propozycjami okupu; pogłębił on i tak dostatecznie już pesymistyczne nastroje wśród oblężonych wiadomością o przybyciu pod Zamość „krwawego" Krzywonosa. Na drugi dzień udali się do obozu kozackiego przedstawiciele oblężonej załogi: Aleksander Gruszecki i Jerzy Morochowski, zaś strony przeciwnej — pułkownik Mozyra z dwoma Kozakami i trzema Tatarami. *„Za lekkimi bardzo kondycjami stanęło tedy* — relacjonował podskarbi zamojski Jerzy Szornel — *że 20 000 zł pozwolono dać Chmielnickiemu, żeby od miasta odstąpił, majętności nie palił ani pustoszył, więźniów wypuścił".*

Zgodnie z zawartym układem między oblegającymi a oblężonymi 21 listopada Chmielnicki miał ustąpić spod murów twierdzy. Niestety, oblężenie Zamościa przedłużyło się, bowiem 21 listopada przybył do Chmielnickiego poseł królewicza Jana Kazimierza, Jakub Sm'arowski i przywódca powstania przeprowadzał z nim pertraktacje. Dop'ero 23 listopada odeszła spod Zamościa artyleria, natomiast 24 listopada główne s'ły wojsk kozacko-tatarskich. Bohdan Chmielnicki rozpoczął odwrót w kierunku Ukrainy.

Bohdan Chmielnicki nadal operował perswazją. W takim tonie utrzymane są jego listy, wysłane do Zamościa w dniu 13 i 15 listopada. Położenie oblężonych wobec tych propozycji było n'ezmiernie trudne. Dowództwo obrony Zamościa rozumiało dobrze, że twierdza nie jest w stanie wytrzymać długotrwałego oblężenia. Trzeba więc było w końcu porzucić nadzieje tak na odsiecz jak i na szybkie zawarcie traktatów Rzeczypospolitej z Chmielnickim i stanąć na gruncie realizmu. Rozpoczęto zatem układy o okup.

Szybkie zakończenie oblężenia było także na rękę Chmielnickiemu. Zdawał on sobie dobrze sprawę z tego, że przy ilości posiadanej artylerii nie jest w stanie zdobyć szturmem tej, jak na warunki XVII-wieczne, świetnie ufortyfikowanej twierdzy. Mógł ją zdobyć głodem, ale na to potrzebny był czas, którym Chmieln'cki n'e dysponował. Trzeba pam'ętać, że była to już druga dekada listopada, a przywódca powstania nie był przygotowany do prowadzenia działań wojennych w warunkach zimowych.

Pertraktacje postępowały szybko. Gwarantem sfinalizowania rokowań mieli być zakładnicy: ze strony oblężonych — Aleksander Gruszecki i Jerzy Morochowski, zaś strony przeciwnej — pułkownik Mozyra z dwoma Kozakami i trzema Tatarami. *„Za lekkimi bardzo kondycjami stanęło tedy* — relacjonował podskarbi zamojski Jerzy Szornel — *że 20 000 zł pozwolono dać Chmielnickiemu, żeby od miasta odstąpił, majętności nie palił ani pustoszył, więźniów wypuścił".*

Zgodnie z zawartym układem między oblegającymi a obl'ężonymi 21 listopada Chmielnicki miał ustąpić spod murów twierdzy. Niestety, oblężenie Zamościa przedłużyło się, bowiem 21 listopada przybył do Chmielnickiego poseł królewicza Jana Kazimierza, Jakub Sm'arowski i przywódca powstania przeprowadzał z nim pertraktacje. Dop'ero 23 listopada odeszła spod Zamościa artyleria, natomiast 24 listopada główne s'ły wojsk kozacko-tatarskich. Bohdan Chmielnicki rozpoczął odwrót w kierunku Ukrainy.

Zamość n'e został zdobyty, a jego obrona spełn'ła doniosłą rolę zatrzymując zwycięski pochód Chmielnickiego. Oblężenie przyniosło miastu w skutkach ogólne zn'szczenia. Przedmieścia i okoliczne wś'e zostały spalone, a sytuacja wewnątrz twierdzy była wręcz katastrofalna. Poseł królewicza Jana Kazimierza do Bohdana Chm'elnickiego Jakub Smiarowski, który odwiedził Zamość w dniach 23—24 l'stopada, czyli w czasie likwidacji oblężenia, pisał: *„ludzie pochorzeli, trupu wszędzie pełno, niedostatek pszenicy chleba i innej żywności; konie i dobytki dla n'edostatku pozdychały, pełne ich ulice i rynki, zaczyna smród wielki i n'eznośny i luba się mieszczanie przed przyjazdem moim okupu'i ledwieby obs'dionem dalej znieść mogli".* Również oblegający ponieśli znaczne straty. Jeśli wierzyć relacji posła carskiego Kunakowa, to liczba zabitych podczas oblężen'a ze strony wojsk kozacko-tatarskich miała sięgać liczby 3 [illegible] ludzi.

Egzamin bojowy Zamościa nie wypadł zbyt rewelacyjnie. O wiele lepiej — prawie że na „piątkę" miał się spisać dopiero w osiem lat później, podczas oblężenia przez wojska szwedzkie Karola Gustawa.

Adam Andrzej Witusik

Co napisałby Żeromski?

(Dokończenie ze str. 5)

W Dobrej w staszowskim powiecie nie ma kościoła. W Dobrej jest Uniwersytet Ludowy TWP. Szeroko znany też jest tam wiejski zespół recytatorski. Słyszałem tych ludzi w ubiegłym roku w Mąchocicach, gdzie młodzież wiejska urządzała dwudniowy festyn Żeromskiemu poświęcony. Słyszałem Helenę Dywan, wspaniale recytującą fragmenty utworów autora „Urody życia".

W Dobrej nie ma kościoła. Ludzie mówią tam: „My tu w Dobrej mamy „kościół TWP". Do tego „kościoła" chodzą ludzie, młodzi i starsi. Nawet 90-letnia Sobiegrajowa, ze swoim 88-letnim mężem, stale i pilnie tam przychodzą.

* * *

Taka jest Kielecczyzna kulturalna. Są ośrodki, gdzie bije żywe źródło wielu kulturalnych poczynań, gdzie pełno ambitnych ludzi i ambitnej inicjatywy. A są i takie, w których do ludzi trudno dojść, porwać ich, bo zajęci są, jak na Kielecczyźnie się mówi, „biciem świńtuchów, robieniem z nich kiełbas i kiszek". Można kląć z irytacji świętej, na kilkuletni już chyba koczowniczy żywot „Kubusia" — Teatru Lalki i Aktora, który w wojewódzkiej metropolii nie ma własnego kąta i nie ma w Kielcach takiego mocnego, kto mógłby ostatecznie załatwić likwidację knajpy, aby dać pomieszczenie marionetkom...

Irytować może fakt, że od długiego już czasu Kielce co i raz tracą — to dobrego aktora, to pisarza, to muzyka czy dziennikarza. Waldemar Babinicz, prawda, pozostał wierny tej ziemi. Ale inni... Mówił o tym gorzko na Sejmiku Kulturalnym dziennikarz, Bronisław Zapała.

Bo tak. Był u nas dr Jan Pazdur, uczony, historyk starego hutnictwa i Kielecczyzny. Jest w Warszawie. Był dr Wincenty Kawalec — ekonomista, znawca niezrównany ekonomiki naszego województwa. Jest w Warszawie. Byli aktorzy tacy, jak Byrscy, Hrebnicka, Machlicka, Tomczak, Gałązka. Są w Warszawie. Byli dziennikarze — Michniak, Smożewski — obaj jednocześnie o zainteresowaniach o wiele szerszych, wybiegających poza uprawianą profesję (literatura, teatr). Jeden dziś w Poznaniu, drugi w Krakowie. Sylwester Banaś — pisarz mający na swym koncie z dziesięć chyba książek — coraz częściej i chętniej spogląda w stronę Lublina, Białegostoku. Antoni Tośta — ten już Lublin czy Toruń wybrał.

Musi być tu więc coś, co może niektórych ludzi zrażać. Może to sprawa niewydania przydziału na uczciwe mieszkanie, a zamiast niego zapędzanie w objęcia spółdzielni mieszkaniowej. Nie słyszało się dotychczas, a w Kielcach na ogół dobrze to i owo się słyszy, żeby któryś z aktorów kieleckiego teatru — otrzymał mieszkanie. Gniotą się ci biedni „komedianci" w ciasnych pokoikach (z żonami i dziećmi) w tyle budynku teatru. Gdyby broń Boże ten się zapalił, nie uszedłby nikt z życiem.

I dobrze się stało, że mówiono o tym na Sejmiku. Bo przecież te sprawy, to też klimat, aura, sprzyjające lub nie i eo ipso związane z rozwojem czy uwiądem kulturalnego życia.

* * *

Wieczorem pierwszego dnia obejrzeli uczestnicy Sejmiku „Wesele" w ciekawej i nowej inscenizacji i reżyserii Józefa Grudy. Mam ochotę powiedzieć: wiele razy widziałem dramat Wyspiańskiego i w wielu obsadach, reżyseriach. Ale ten kielecki spektakl — warto obejrzeć, warto choćby dlatego, aby zobaczyć „Rachel" — Ninę Skołubę, zupełnie młodą aktorkę, której jednak można przepowiadać przyszłość. A w ogóle — kielecki teatr ma sporo świetnych aktorów, którzy na pewno nieraz jeszcze powiedzą swoje artystyczne słowo.

A Sejmik — na zakończenie podjął uchwałę o utworzeniu Funduszu Rozwoju Kultury. Pieniądze na kulturę będą się tutaj gromadzić oczywiście — nie z kwest ulicznych, ale płynąć powinny od potentatów — fabryk Kielecczyzny, od WZGS, SFOS...

...Kielce. Tyle lat, taka nieskończoność przypomnień, epizodów, taka mnogość przeżytych lat, tyle smutków. Śliczne sny i gorycze, wszystkie... zapisane na kamieniach, na wieżach kościołów, na panoramach krajobrazów, na chodnikach ulic... A nie zmieniło się nic, gdyż w Kielcach nic się nie zmienia. Ci sami emeryci, te same tynki na kamienicach i doprawdy ani jednego nowego kamienia... Jakaś nowa knajpa na Małej ulicy — zresztą wszystko to samo, tak dalece, że wydaje się, jakby od mojego wyjazdu minęło dwa tygodnie — a nie tyle goryczą napojonych godzin, z których ułożyły się dwa lata rozłąki z Kielcami..."

* * *

Siedemdziesiąt, nie więcej chyba lat minęło od czasu, gdy Żeromski te słowa pisał w swoim dzienniku. I gdyby żył dziś pisarz, to pewnie wędrowałby po Kieleckiej Ziemi, zaglądałby do gardzienickich studni, podziwiałby palniki gazowych kuchenek w chłopskich chatach białobrzeskiego powiatu, na pola Czarnowa chodziłby oglądać nowe Kielce wieżowców.

Co napisałby o Kielcach w swym dzienniku Żeromski anno 1965?

Tadeusz Bartosz

Księga Puszczy

(Dokończenie ze str. 1)

oraz strażnika — Władysława Lesza

Dyr Krysztofik zapytany o jego osobistą d r o g ę d o l a s u, informuje krótko, że:

Po ukończeniu gimnazjum, przypadkowo, bo za radą kolegi, znalazł się wśród studentów SGGW w Warszawie. W 1935 r. uzyskał dyplom magistra inżyniera-leśnika i rozpoczął pracę w instytucie Badawczym Lasów Państwowych. Potem — wojna, pobyt w niewoli. Po wyjściu zza drutów — praca w zarządzie lasów w Radomiu. Wyzwolenie. Parę miesięcy w nadleśnictwie Klepacze k. Iłży, i wreszcie od 1945 r. tutaj, w Bodzentynie, ówczesnej siedzibie Nadleśnictwa Św. Katarzyna. Parku Narodowego jeszcze wtedy nie było. Jego zalążek stanowiły skrawki boru uznane za rezerwaty w 1921 i 1932 r. W obecnych rozmiarach Park powstał w roku 1950. Wołania Stefana Żeromskiego, aby puszcza świętokrzyska została zachowana *„...na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym święty jeleń chodzi, jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i pieśń wieczności"*, dopiero teraz doczekały się urzeczywistnienia.

Akt prawny z r. 1950 stanowił: *„Na obszarze Parku działalność człowieka oraz wszelkie czynności gospodarcze, ich charakter, zakres i sposób przeprowadzenia, muszą być ściśle dostosowane do potrzeb ochrony przyrody i muszą być zgodne z jej celami"*.

Na czele wykonawców puszczańskiego testamentu Żeromskiego oraz zgodnego z jego ideą, postanowienia Rady Ministrów stanął właśnie Eugeniusz Krysztofik. W tym roku mija 20 lat jego pracy dla dobra Puszczy. Dorobek tego okresu to: setka publikacji, współpraca z ośrodkami badawczymi leśnictwa w kraju i za granicą, no a przede wszystkim — codzienna troska o, bagatela, ponad 6 tys. ha leśnego obszaru. Jak na tak poważną połać boru, „aniołów-stróżów" jest mało: 8 leśniczych, 17 strażników, 4-osobowa dyrekcja. Wśród tutejszych leśników nie brak tendencji dynastycznych: Bogusław Sitnicki leśniczy na Łysej Górze jest synem gajowego, zaś w ślady ojca — dyr. Krysztofika wstępuje syn Jacek, student Wydz. Leśnego SGGW.

Drugi z przewodników mieszczucha, Wincenty Silski, trafił z „lasu" do lasu. W czasie wojny — partyzant w lasach koneckich; po wojnie — studia w Poznaniu, a następnie praca w Bieszczadach. Potem — przyjazd do Kielc, odpowiedzialne stanowisko w Banku Rolnym. Wytrwał tu... „aż" rok. *„Praca przy biurku nie dla mnie"* — tłumaczy. Rzucił wygodną skądinąd posadkę i wrócił do lasu. Jest leśniczym Parku Narodowego w Podgórzu.

Od tej to leśniczówki poprzez uroczysko Lipiny i południowy stok Miejskiej Góry idziemy do Doliny Czarnej Wody.

Niemal co krok coś ciekawego. Tutaj jodła, półtorawiekowy kolos o kubaturze, która pozwoliłaby na postawienie całego domu, tam znowu drzewko-karzełek, wyglądające na lat, powiedzmy, 5, a liczące ponad 30.

Wędrówka trwa. Mijają kwadranse. Godziny. Przekraczamy barierę rezerwatu ścisłego Czarny Las. Tutaj gospodaruje wyłącznie sama przyroda. Śmigają ku niebu drzewa-olbrzymy, leśna arystokracja o rodowodach sprzed tysiącleci. Ten i ów z olbrzymów przestał już żyć. Stoi jednak nadal w posępnym majestacie śmierci, bądź leży — strzaskany piorunem, lub złamany wichurą.

W rezerwacie ścisłym, obejmującym około 1/3 powierzchni Parku, realizuje się z całą dosłownością żeromską ideę *„lasu nietykalnego"*. A na pozostałym obszarze?

Długotrwała dewastacja tutejszych lasów — jak na ironię szczególnie intensywna w końcu lat dwudziestych, a więc wkrótce po szlachetnym „veto", wyrażonym w poemacie prozą „Puszcza Jodłowa" pozbawiła znaczną część kniei pierwotnej krasy. Spore szkody wyrządzili hitlerowcy, a bodaj jeszcze większe — rodzimi defraudanci. Stąd przed dyrekcją Parku i jego Radą, kierowaną ofiarnie przez profesorów: Zygmunta Czubińskiego z Poznania i Edmunda Massalskiego z Kielc, wyłoniło się zadanie planowej rekonstrukcji nadwątlonych fragmentów Puszczy. Na tych to obszarach dokonuje się zabiegów sadzenia odpowiednich drzew i krzewów, a także usuwania zbędnych. Tutaj siekiera ma, bo dla dobra sprawy m u s i m i e ć, czasowy przywilej wstępu. Tkwi jednak w odpowiedzialnych rękach i działa na zasadzie chirurgicznego skalpela.

Wspaniała jest roślinność Puszczy. A zwierzyna?

Po niedźwiedziu pozostały w tych ostępach, niestety, tylko odległe wspomnienia. Ostatni miś-miodojad padł około roku 1840. A trzeba natychmiast dodać, że puszcza była — jest też i dziś — krainą prawdziwie miodem płynącą. Słodki osad na igiełkach jodeł jest niezastąpionym surowcem do produkcji miodu spadziowego, o specyficznej zielonkawej barwie, oryginalnym smaku i wypróbowanych właściwościach leczniczych. Barci dzikich pszczół przetrwało do dziś znikomo mało. Za to w okolicy, według 110-kilometrowego obwodu Parku pełno pasiek we wsiach.

Jelenia, owe „święte" zwierzę, godło tej krainy, również trzeba ze smutkiem zaliczyć do cieni przeszłości. Jeszcze przed ostatnią wojną było ich ok. 50 sztuk. Sprawcami zagłady byli w głównej mierze kłusownicy oraz polujący tu dygnitarze hitlerowscy.

Sporo jest dzików. Są też sarny. Z drobniejszych gatunków — lisy i kuny. Rzadziej występuje borsuk. Mnóstwo gadów i płazów. Świat ptasi, choć liczy jeszcze ponad sto gatunków, został poważnie przetrzebiony.

Ciekawostkę zoologiczną stanowią muflony. „Baranopodobne" istoty, rodem z Sycylii i Korsyki same przywędrowały do Parku z lasów łagowskich, dokąd sprowadzono po wojnie parę okazów. Najpierw uważano je za intruzów. One jednak czuły się tu dość swojsko. Zadomowiły się. Dawały się widzieć w towarzystwie autochtonek — saren. To się nazywa zoo-internacjonalizm! Kto wie, czy nie on wpłynął ostatecznie na zmiękczenie ludzkich serc i przyznanie muflonom świętokrzyskiego obywatelstwa?...

A ludzie służą Puszczy i sercem, i rozumem. Badania owocują licznymi publikacjami z dziedziny botaniki, zoologii, geologii. Opracowują je miejscowi leśnicy-naukowcy, a także specjaliści z innych stron kraju. Corocznie zjeżdżają studenci — magistranci, od czasu do czasu pojawiają się doktoranci. Nauka idzie z lasu — nauka idzie w las!

„...któż może wiedzieć — zastanawiał się z trwogą 40 lat temu Żeromski — *czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu, lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakiebądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: — nie pozwalam!"*

Wielki pisarz miał wszelkie podstawy do tak dramatycznie wyrażonych obaw. Dziś jednak rządzi i wydaje się, b ę d z i e trwale rządzić prawo Puszczy jak najpełniej przyjazne. „Macierz jodłowa" będzie rosła, nie kaleczona ostrzem siekiery.

Stanisław Fornal

Ludzie i kości

(Dokończenie ze str. 1)

dyca, Dziekanów, Jarosławiec, Busieniec, Szpikołosy, mały folwark Białoskóry i część Putnowic. Razem — 13 669 morgów. Ponad tysiąc przekazuje Staszic na własność rodzinie Grotthusów, baronów kurlandzkich. Na reszcie zakłada w 1816 r. *„Towarzystwo rolnicze wspólnego ratowania się w nieszczęściach"*. Było ono czymś wyjątkowym na owe czasy, nie mieszczącym się ani w wyobrażeniach, ani w ustawodawstwie. Zamiast jednego właściciela zapanowała wspólnota. Na długo przed uwłaszczeniem członkowie Fundacji uwolnieni zostali od pańszczyzny, grunta przez nich uprawiane oddano im w dziedziczne posiadanie.

Towarzystwo miało w swoim władaniu pola, lasy, młyny, kuźnie, zorganizowało formę ubezpieczenia wzajemnego w wypadkach losowych, opiekę nad sierotami, inwalidami i starcami, prowadziło szpital, szkoły, pół Hrubieszowa dzięki jego pożyczkom zbudowano. Zupełnie nowoczesna samorządność jest prekursorskim zjawiskiem. Była to jedyna w swoim rodzaju pionierska szkoła społecznego myślenia i działania. Właśnie to, o co teraz tak bardzo chodzi. Stanisław Staszic, jako założyciel Towarzystwa, jest uważany za poprzednika, zwiastuna spółdzielczości polskiej, a ono samo było niewątpliwie jedną z najbardziej dojrzałych organizacji przedspółdzielczych w Europie.

Dziedziczem tych tradycji mianuje się CRS. Jej naczelne władze podjęły niedawno uchwałę, że w czerwcu przyszłego roku odbędą się uroczystości 150 rocznicy powołania do życia Fundacji Staszicowskiej. Projekt obchodów, przygotowany przez radę naukową CRS, przewiduje wysoki protektorat, udział w komitecie honorowym wielu członków rządu, sesję naukową (pole do popisu dla lubelskiej uczelni), wystawę dokumentów archiwalnych i wydawnictw, publikacje w trzech językach, zaproszenie gości zagranicznych. Szerzej o tym, co przyniesie przyszły rok — będzie czas mówić, natomiast obecnie...

Nawiązując do 210 rocznicy urodzin Stanisława Staszica zorganizowano w Hrubieszowie, w okresie od 5 do 12 listopada, „Dni Staszicowskie". Capstrzyki w paru miejscowościach, sesja okolicznościowa obu hrubieszowskich rad narodowych, referaty — obok dr Ryszarda Orłowskiego z UMCS właśnie młody magister z Białopola — otwarcie muzeum, odczyty. Szeroki odzew społeczeństwa.

Z moim cicerone idę najpierw odświeżyć w pamięci obraz pomnika. Został on wzniesiony w 1922 roku, w sto lat po sporządzeniu przez niezwykłego ofiarodawcę formalnego aktu darowizny. Jest bardzo skromny. Przypomina płytę nagrobną w klasycystycznych kościołach. Czytam, że mądry Wielkopolanin *„ukochał ojczyznę, naukę, społeczeństwo"* i zrealizował swoją oryginalną myśl, *aby serca wszystkich w miłości dla Rzeczypospolitej Polskiej zjednoczyć"*. Wieńce, wiązanki kwiatów — dowód zaangażowania młodzieży jako że jest tu również Liceum imienia twórcy Towarzystwa Rolniczego, a w ramach „Dni" dokonano nawet odsłonięcia popiersia patrona szkoły.

Nie pora na przedstawianie dorobku stowarzyszenia miłośników regionu. W każdym razie nareszcie wywalczono lokal i otwarto ekspozycję muzealną. Oglądałam dwie gabloty poświęcone wyłącznie Staszicowi — zbiór wydawnictw, skompletowany przy pomocy Biblioteki Łopacińskiego. Szkoda tylko, że ta mała wystawka tak krótko — bo zaledwie kilka dni — gościła w terenie. A zainteresowanie? O tym wyrabiam sobie pojęcie dopiero na wsi.

Dziekanów zajmuje specjalną pozycję w Staszicowskiej historii. Tu znajdowała się siedziba Towarzystwa. Do tej pory pałacyk — mieści się w nim obecnie PGR — nazywa ludność „prezesówką". Wsie należące do Towarzystwa przez długie lata stanowiły jedną zwartą gminę. W Dziekanowie stoi, wzniesiony przez Towarzystwo, budynek tej gminy.

Robię mały rekonesans. Ścierają się wrażenia biegunowo różne. Zmienne szczęście towarzyszyło tym sprawom po wyzwoleniu. Reforma rolna, nie wnikając w istotę rzeczy, upaństwowiła wspólnotę chłopską. Stąd aż po dziś dzień marzenia o reaktywowaniu Towarzystwa.

Założyciela jego, *„twórcę swobody i wolności"*, chłopi mają w wielkiej estymie; 3 maja, Stanisława, świętowano. Przed rokiem 1950 zabroniono tego; skończyło się na cichej wewnętrznej akademii, która się więcej nie powtórzyła. Hrubieszowskie „Dni" nawiązały z pożytkiem do starego zwyczaju.

W budynku gminy zagospodarzyła się GRN. Przed budynkiem — pomniczek, jeszcze bardziej skromny niż w Hrubieszowie. Podobizna Staszica zniszczona, z odłupanym fragmentem. W czasie okupacji stacjonujący tu ukraińcy, tzw. „czarni", strzelali z karabinu maszynowego do tego pomnika. Sekretarz Prezydium, Czesław Pędrak, opowiada mi dalej, że książka gryziona przez myszy w magazynach lubelskich księgarni — tu cieszy się niesłabnącym powodzeniem. Przechodzi z rąk do rąk. Aż dziw, że miejscowa biblioteka nie sprowadziła więcej egzemplarzy, nie przybliżyła wiei literatury o Staszicu. Ale czy to tylko jej wina?

Nauczyciel, Eugeniusz Tokarczuk, pisze kronikę. Wspomina w niej, że Staszica pamięta już tylko stara, zabytkowa karczma. Ciekawe są losy archiwum Towarzystwa, znaczne części akt znajdowały się w różnych miejscach, wywożone, zamurowywane. Sporą ilość kilka lat temu pracownicy GRN przekazali Uniwersytetowi. Wszystko, co się zachowało — 1431 jednostek poszytów — zgromadzono w Państwowym Archiwum w Lublinie. Jednak nie jest to komplet dokumentów. Nikt także nie wie, co się stało z pancerną kasą Towarzystwa, która długo stała w kącie korytarza GRN, chociaż stanowiłaby przecież piękny eksponat dla muzeum. Warto o tym pomyśleć, może jeszcze nie poszła na złom.

* Gromada Dziekanów jak za najlepszych czasów staszicowskich, ba! — znacznie bogaciej odbudowuje się. W kilku wsiach wznosi się szkoły. W samym Dziekanowie postanowiono — w ramach aktywizacji — ułożyć przez wieś chodniki, posadzić kwiaty, drzewka. Prace te są poważnie zaawansowane. Innym efektem zespołowych wysiłków jest wielki dom kultury. Najlepsza to chyba kontynuacja staszicowskich ideałów ta inwestycja za składkowe sumy, realizowana przez szereg lat. Przekazano ją do użytku właśnie w czasie listopadowych uroczystości, przydając jej imię wielkodusznego filantropa, męża stanu i filozofa. Nowy obiekt pomieści salę kina, klub, bibliotekę z czytelnią.

Na placu przed domem natknęłam się na ślady po rodzinie Grotthusów. Stoi tu wysoki obelisk, świeżo pomalowany olejną farbą o kolorze stalowo-szarym. Jest to grobowiec pierwszego prezesa Towarzystwa Hrubieszowskiego, Józefa Grotthusa, oraz jego małżonki, Tekli. Brak wyczerpującej, wszechstronnej monografii dzieła, które przetrwało przecież ponad 130 lat, nie pozwala w pełni dostrzec roli jaką spełnili Grotthusowie w jego utrwaleniu i umacnianiu. Staszic mianował ich dziedzicznymi prezesami Towarzystwa i pilnowali oni dobrze tych spraw. Wcześnie utracili zaufanie policji carskiej za wspieranie ruchów wolnościowych, gwardii narodowej, powstańców. Nie jest dokładnie znana historia tej rodziny. Nauczyciel Tokarczuk opowiadał, że przedostatni jej męski potomek, którego syn zginął na wojnie, podpisywał się: *Gustaw baron von Grotthus V dziedziczny prezes Fundacji Staszica"*. Zabili go ukraińscy faszyści w 1944 roku. Pochowany początkowo w majątku rodzinnym żony, w Białowodach, został następnie przeniesiony przez córkę do grobowca Mackiewiczów w Uchaniach. Jego poprzednik był przymusowo odsunięty od władzy w Towarzystwie.

Drugi prezes, Krzysztof Grotthus, oraz trzeci — Edmund Grotthus, a także niektórzy członkowie ich rodzin, pochowani zostali na cmentarzu unickim w Dziekanowie. Zwiedziłam ten straszliwie zaniedbany, zarośnięty i nieogrodzony zabytek. Kaplicę w czasie działań frontowych zdemolowano, trumny porozbijano, hieny cmentarne szukały kosztowności. W ostatnich miesiącach zdarzyły się gorszące wypadki wyciągania szkieletów przed kaplicę. By straszyły przechodzących drogą. Trzeba jak najszybciej zdobyć 40 tysięcy złotych, o które walczy niestrudzenie GRN, na ogrodzenie cmentarza i odrestaurowanie kaplicy grobowej. Co prawda czerwcowe obchody zlokalizowane są głównie w Hrubieszowie, ale... a nuż ktoś z dostojnych gości — co jest raczej więcej niż pewne — zapuści się do Dziekanowa? Czyż nie ujrzą jego oczy zawstydzającego widoku?

Włączenie rocznicy Staszicowskiej w uroczystości związane z Tysiącleciem Państwa Polskiego, to wzbogacenie ich piękną kartą naszych dziejów.

Matylda Wełna

KŁOPOTY ZAMORSKIEJ SZWAJCARII

MIROSŁAW AZEMBSKI

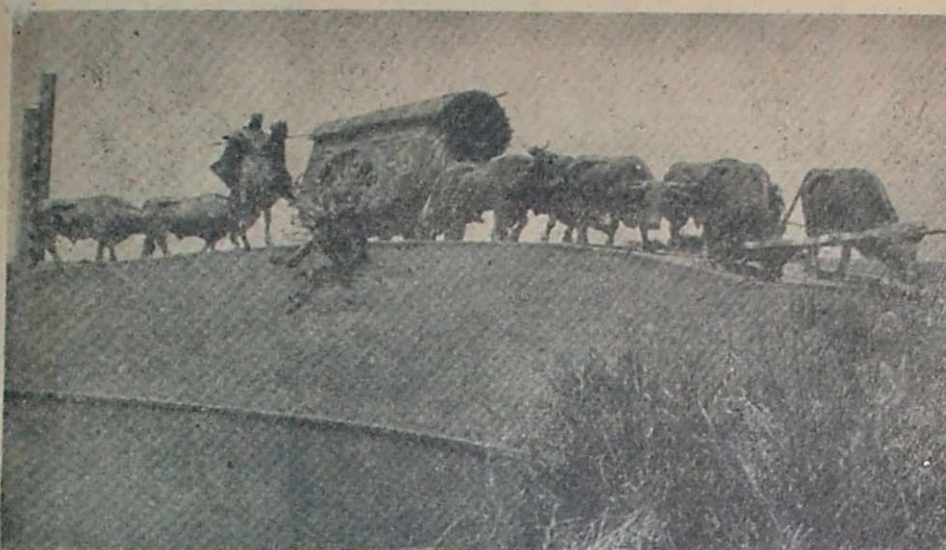

Pomnik pioniera w Montevideo

TRASĘ Buenos Aires — Montevideo przebywają statki w niespełna dwanaście godzin. La Plata w najszerszym miejscu liczy tu 200 kilometrów i toczy leniwie ku morzu swe płytkie, muliste wody koloru brudnożółtawego, niby z najpospolitszej glinianki. Po nieciekawej żegludze ukazuje się nieciekawy brzeg lekko pofałdowany, na wzniesieniach dochodzących do ledwie kilkuset metrów wysokości. Tam to właśnie, w widłach La Platy i rzeki Urugwaj, leży państwo o tej samej nazwie, o nazwie egzotycznej, indiańskiej, dającej się przetłumaczyć jako „Rzeka Ptaków". Jest to najmniejsze wolne państwo Ameryki Południowej, liczące 186 900 kilometrów kwadratowych — co w porównaniu z kolosalnymi sąsiadami — Argentyną i Brazylią — stanowi powierzchnię rzeczywiście znikomą. Ludność? Oblicza się ją na 3 miliony, ale tylko „na oko", bo spis mieszkańców od dawna nie był przeprowadzany ze względów oszczędnościowych.

Nazwa stolicy i największego portu zarazem — Montevideo — pochodzi jakoby od okrzyku któregoś z żeglarzy Magellana: *„Monte vide eu"* — *„Widzę górę"*: Ktoś, kto w tę wersję uwierzy, srodze będzie rozczarowany; Cerro, owa „góra", jest raczej skromnym pagórkiem, przypominającym nieco z wyglądu trochę powiększony kopiec Kościuszki. Prawdą jest natomiast, że Magellan tędy przepływał, a przed nim jeszcze nieszczęsny De Solis, zjedzony później, jak wiadomo, przez dzikich tubylców.

Urugwaj, ze względu na swoje położenie strategiczne (naturalna twierdza, chroniona wodą z trzech stron), był łakomym kąskiem zarówno dla Portugalczyków jak i dla Hiszpanów: tu ścierały się wpływy obu potęg i ten, kto panował nad Urugwajem, trzymał w szachu przeciwnika. Krwawe wojny toczyły się więc o ów skrawek ziemi, wielokrotnie zmieniał on władcę. Za czasów hiszpańskich, w końcu osiemnastego wieku, nosił nazwę Banda Oriental, która oznacza po prostu Wschodni Brzeg, ale zupełnie słusznie kojarzy się z bandami: obozowały tam wtedy głównie szajki przemytników, przerzucających wodą towary z Brazylii do Argentyny i z powrotem. W 1821 roku Banda Oriental została po kilkuletniej wojnie przyłączona z kolei do Brazylii, pod nazwą Prowincji Cispalatańskiej. Ale Urugwaj miał dosyć nie tyle ciągłych zmian nazwy, ile niekończących się wojen i wiecznej zależności. W 1828 roku skorzystał z okazji i wzorem innych państw południowoamerykańskich sięgnął po niepodległość: w dwa lata później utworzona została samodzielna republika — Wschodnia Republika Urugwaju.

W tych mniej więcej czasach przejeżdżał przez Urugwaj nasz wielki podróżnik, Ignacy Domeyko. Dużo słyszał o wolności i równości, jakie miały w tym kraju zapanować.

„Zapewne w kraju wolnym w rzeczypospolitej — powiedział do jednego z Urugwajczyków — *macie panowie niemało Indian osiadłych i wolnych, uprawiających rolę, ale bardziej cywilizowanych niż Indianie z Missiones?"*

„Bez wątpienia — odrzekł Urugwajczyk — *ale Indian niewielu mamy w Rzeczypospolitej Orientalnej, nie więcej może nad kilkadziesiąt familii. Dzicy to są ludzie i nie można im zawierzać. Dawniej było ich dalece więcej u nas; kilkaset familii w jednej dolinie nad rzeką Urugwaj liczono. Byli nawet pomocni liberalistom czasu wojny o niepodległość. Ale potem trzeba było ich mieć na oku. W ostatniej rewolucji pod pozorem, że czyni się wyprawę na Brazylijczyków, wezwano Indian do broni. Wystąpili wszyscy i jak ich obyczaj niesie, z żonami i dziećmi. Postawiono ich w miejscu bezpiecznym, tak iżby ani szkodzić, ani uciekać nie mogli i potem, za danym znakiem, rzucono się na nich i prawie do jednego wycięto".*

Oto zanotowane wiernie przez naszego rodaka słowa, ujmujące w skrócie tragedię urugwajskich Indian. Ukazują one przejrzyście, dlaczego Urugwaj dzisiejszy jest krajem „białym", ludność składa się wyłącznie z potomków Europejczyków, przeważnie pochodzenia hiszpańskiego i włoskiego. Indian nie spotyka się w ogóle, a Metysi i Mulaci należą do rzadkości.

Głowa bez korpusu

Montevideo ma wygląd bardzo europejski. Można to miasto porównać do Wiednia, można także do Krakowa — w odpowiedniej proporcji, oczywiście. We dnie panują tu senność i spokój, szczególnie na bocznych ulicach, ale wieczorem, gdy zapalają się neony na głównych, nowoczesnych, choć wcale nie gigantycznych arteriach, traci Montevideo prowincjonalny charakter i zaczyna się upodabniać do innych, pełnych rozmachu miast wschodniego wybrzeża kontynentu.

Ktoś nazwał Urugwaj „głowaczem" (ryba o olbrzymiej głowie w maleńkim ciele) ze względu na wielkość stolicy; skupia ona bowiem w swoich granicach jedną trzecią ludności całego państwa — milion, na ogólną liczbę trzech milionów. Można przeto stwierdzić najkrócej: Urugwaj, to Montevideo, a Montevideo — to Urugwaj. Sa, rzecz prosta, i inne miasta: Mercedes, słynny ośrodek handlu zbożem, Salto, gdzie odbywają się wielkie targi bydła, Paysandu, centrum przemysłu mięsnego — skupiska, liczące po kilkadziesiąt tysięcy ludności. Urugwaj jest zatem państwem mieszczan.

Chwila spędzona w jednej czy drugiej kawiarni głównych ulic przynosi zresztą pełną ilustrację dla tego twierdzenia. Siaduje tam towarzystwo w obłokach papierosowego dymu, syte, dobrze ubrane i nudzące się piekielnie. Kim są ci panowie w pierścieniach na pulchnych palcach? Głównie farmerzy „dojeżdżający" jedynie do swoich estancji, dalej handlowcy, zręczni i szczęśliwi w interesach, przeważnie pośrednicy w wymianie między skłóconymi często krajami Południowej Ameryki, rentierzy, bankowcy, właściciele i pracownicy przedsiębiorstw turystycznych. W skromniejszych lokalach podobny obraz, tyle że na palcach mniej pierścieni; tam zbierają się urzędnicy państwowi. Co trzeci dorosły mieszkaniec Montevideo ma jakąś posadę państwową. Grupa urzędników (wraz z rodzinami) stanowi 20 proc. całej ludności państwa, a na jej uposażenie idzie corocznie trzy czwarte dochodów Urugwaju! Jest więc Urugwaj nie tylko państwem mieszczan, ale i... biurokratów.

Niewielkie, lecz eleganckie centrum Montevideo nie daje jednak pojęcia o wyglądzie i rozległości przedmieść. Na początku naszego stulecia miasto miało ledwie 5000 hektarów powierzchni, dziś posiada 52000 hektarów, ciągnie się w we wsze strony w nieskończoność, rozszerza się z każdym rokiem. *„Stolicy naszej* — powiedział jeden z urugwajskich polityków — *nie można zamknąć w ściśle określonych granicach".*

Zależnie jednak od kierunku, jaki obierzemy przy zwiedzaniu miasta, przedmieścia będą nam imponować, albo... wręcz przeciwnie. Wzdłuż wybrzeża La Platy w kierunku południowym rozwija Montevideo cały wachlarz swoich wspaniałości: bulwary tonące w kwiatach i gajach tropikalnych drzew, asfaltowe autostrady, wille lśniące szkłem i marmurami. Jakże inny obraz przedstawia przedmieście Barrio Union, popularnie zwane do niedawna barrio de latas — przedmieście puszek po konserwach... Puszki po konserwach właśnie, obok dykty i workowego płótna, były głównym budulcem, z którego konstruowali maleńkie budki mieszkańcy tej dzielnicy: robotnicy z pobliskiej fabryki kauczuku, roznosiciele gazet, sprzedawcy, kwiatów, no i przede wszystkim bezrobotni. Z czasem dzielnice te trochę uporządkowano, w miejscu „konserwowych" budek wzniesiono przyzwoitsze nieco baraki, zawsze jednak zaskakuje owa Barrio Union biedą i smutkiem, o które nikt nie podejrzewałby stolicy jednego z najzamożniejszych państw kontynentu.

Mimo bowiem pozorów spokoju i dostatku Urugwaj nie jest wcale ziemią mlekiem i miodem płynącą. Hodowla bydła i dochody z turystyki — na tym właściwie koniec. Przemysł — przeważnie tekstylny i skórzany — wciąż jeszcze słabo rozwinięty, wciąż wymagający nowych nakładów. Ani porównania z sąsiadującą Brazylią, która ma przed sobą nieograniczone możliwości, ani porównania z wielką Argentyną. Urugwaj posiada co prawda złoża mineralne: złoto, srebro, miedź, ołów, mangan, żelazo i ropę naftową — ale są to zasoby niewielkie i nie odgrywające żadnej roli w gospodarce. Miejscowi posiadacze twierdzą, że dobre imię Urugwaju zasadza się nie na bogactwach naturalnych a na braku społecznych przeciwieństw: nie ma tu kapitalistów o zawrotnych majątkach i nie ma nędzarzy w nadmiernej liczbie. Dobrobyt mniej więcej dla wszystkich — powiadają. Akuratność, obowiązkowość, dobra organizacja — oto źródła powodzenia. Na takich to solidnych podstawach toczy Urugwaj rzekomo żywot spokojny, pozbawiony wstrząsów i niespodzianek, co znajduje swoje odbicie w egzystencji poszczególnego obywatela. Ale czy to wszystko prawda?

Umierająca pampa

Obok pomnika generała Artigasa, bohatera narodowego Urugwaju (on to zapoczątkował walkę o wyzwolenie na początku XIX wieku) oraz statuy poświęconej pamięci miejscowych Indian (niesławnie pomordowanych) stoi w śródmieściu Montevideo solidna rzeźba z brązu, wyobrażająca osadnika z interioru. Pogania on wóz ciągnięty przez woły, nieustraszony podąża gdzieś w głąb kraju. Zupełnie słusznie w ten sposób uczczono urugwajskiego gaucza; podobnie jak w Argentynie i na południu Brazylii jest on filarem podtrzymującym całą gospodarkę. Od zarania swoich niepodległych dziejów Urugwaj żyje z hodowli; obecnie posiada 8 milionów sztuk bydła i 21 milionów owiec, eksportuje rocznie 33000 ton mięsa i 58000 ton wełny. Tylko 10 proc. gruntów poświęcone jest pod uprawę zbóż i jarzyn, cała reszta stanowi jeden wielki teren hodowlany, na wzór argentyńskiej pampy podzielony ogrodzeniami z drutu wzdłuż granic poszczególnych „estancji".

Rzecz jednak w tym, że pastwiska Urugwaju dzisiaj ledwie się zielenią. Ugory, wypasane intensywnie i słabo zasilane nową trawą, stają się coraz mniej wydajne, pogłowie bydła i owiec jeśli nie spada, to w każdym razie nie wzrasta. Liczba ludności tymczasem rośnie, rosną potrzeby, zwłaszcza mieszkańców miast, trudniących się, jak wspomnieliśmy, „urzędniczeniem"; więcej trzeba sprowadzać zza granicy wyrobów przemysłowych w zamian za niezwiększoną produkcję hodowlaną. Zadłużenie kraju zwiększa się nieubłaganie, ludność pracująca ubożeje.

„Estancjerzy", wielcy obszarnicy, do których należy trzy czwarte pogłowia owiec i bydła, nie bardzo przejmują się tą sytuacją, bo i tak będą mieli dość pieniędzy. Bydło — ileby za nie płacono — chowa się samo, a płace dla gauczów prawie się nie liczą. Człowiek, któremu postawiono pomnik w Montevideo, odżywia się byle czym, mieszka w podszytej wiatrem chałupie, obywa się bez lekarza, w razie choroby... po prostu umiera. Rząd chce go czasem ratować i wyznacza dla niego płace minimum ale drukowane w coraz większej ilości banknoty gwałtownie tracą na wartości i nie poprawiają jego położenia, albo poprawiają na krótko.

Spadek produkcji wsi odbiła się oczywiście na miastach. Chciałyby one ratować się rozbudową przemysłu, ale na to trzeba maszyn i niektórych surowców zagranicznych. Czym płacić, jeśli i tak długi są olbrzymie? Nie buduje się więc. Bezrobocie szaleje. Robotnicy strajkują żądając podwyższenia płac. Głodni napadają na sklepy żywnościowe i magazyny na przedmieściach. Nie są to jednak czyny przestępcze jednostek, lecz akcja wspólna, zorganizowana, wystąpienia „brygad głodowych", które chcą w ten sposób protestować przeciwko nieudolności rządu i niepohamowanej chciwości posiadaczy.

Urugwaj jest „krajem dobrobytu dla wszystkich" — ale tylko na papierze.

Czerwoni i biali

Urugwaj uchodzi za najbardziej demokratyczne państwo Ameryki Południowej. Prospekty turystyczne zamieszczają oprócz wykazu hoteli i podstawowych wiadomości o stosunkach gospodarczych także obszerną listę ludzi, którzy na przestrzeni lat piórem i czynem walczyli o demokrację. W obronie przed władzą jednostek zniesiono nawet w Urugwaju urząd prezydenta; na czele państwa stoi Rada Rządząca, złożona 9 ludzi, przy czym 4 z nich kolejno przewodniczy, każdy przez jeden rok. Przewodniczący ma zwyczaj przynajmniej raz na tydzień wypuszczać się na miasto w skromnym ubraniu i zapraszać na piwo pierwszego spotkanego tragarza, albo robotnika z budowy; przy barze wysłuchuje on opinii „ulicy" o posunięciach rządowych. Urugwajczyk, zagadnięty o osobliwości stolicy, odpowie zaraz pytaniem: *„Czy zwiedził pan już parlament?"*

Parlament, oczko w głowie Wschodniej Republiki Urugwaju, zajmuje wielki gmach, którego budowa kosztowała miliony. Ściany wewnętrzne wykładane marmurem, mozaiki z agatów i opali, złocone poręcze schodów — wszystkie te ozdoby mają także niejako symboliczne znaczenie, odrobione są bowiem z surowców miejscowych i mają w ten sposób stanowić przegląd bogactw naturalnych kraju — jakkolwiek wszem wobec wiadomo, że pod tym względem nie ma się czym chwalić.

Sercem parlamentu jest, oczywiście, sala obrad poselskich. Debatują tu przedstawiciele siedmiu głównych partii urugwajskich podzielonych na kilkanaście frakcji, czyli w praktyce odrębnych stronnictw. Kilkanaście programów politycznych ściera się w szermierce słownej, a że wspólną cechą dla tych wszystkich polityków jest przysłowiowy południowoamerykański temperament, więc można łatwo wyobrazić sobie zgiełk, jaki powstaje na sali. Dlatego tu i ówdzie wmontowano w ściany dzwonki elektryczne o przykrywach wielkich jak ludzka głowa; ilekroć zbytnio podniecony mówca zaczyna wyrażać się „nieparlamentarnie" włączony dzwon po prostu go zagłusza.

Szeroki jest wachlarz poglądów w senacie i izbie deputowanych — od komunistycznych aż do skrajnie faszystowskich — ale właściwa walka polityczna toczy się od lat pomiędzy partią „Białych" i partią „Czerwonych". Tymczasem „Biali" i „Czerwoni" niczym się właściwie między sobą nie różnią; jedni i drudzy pragną rządzić, jedni i drudzy nie opierają się ani na robotnikach, ani na gauczach, lecz na warstwach posiadających. Nazwy obu partii pochodzą od kolorów chust, jakie kiedyś nosili zwolennicy obu ugrupowań; wtedy jednak „Biali" korzystali z poparcia Argentyny, „Czerwoni" zaś Brazylii, były więc między nimi istotne różnice. Z grubsza biorąc dzisiejsi „Czerwoni" bardziej związani są z miastem i stawiają raczej na rozbudowę przemysłu, „Biali", znowu, jako zwolennicy obszarników, twierdzą, że miasto wysysa z interioru wszystkie soki, i że sprawy państwowe należy rozstrzygać zgodnie z życzeniami wsi. Partie te na przemian ujmują władzę, ostatnio dość długo utrzymują się przy sterze „Biali".

W Urugwaju nie zdarzają się od dawna krwawe zamachy stanu — nie zawsze jednak tak było. W ciągu pierwszych siedemdziesięciu lat istnienia Wschodniej Republiki Urugwaju dziewięć rządów obalonych zostało siłą, dwa wręcz wymordowano, inne zaś musiały stawiać czoła nieudanym rewolucjom. Chaos straszliwy panował w kraju aż do czasów prezydenta José Battle y Ordoneza, który objął władzę w 1903 roku i zaprowadził trwały porządek.

Battle, młody dziennikarz, pojawia się na widowni w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Wielkie zamieszanie panuje jeszcze w Urugwaju, ale na szczęście sąsiedzi przestają jakoś czyhać na niepodległość tego małego państwa. Battle zakłada gazetę „El Dia" i na jej łamach piórem zaczyna walczyć o ład i postęp. Dziwnie brzmią te hasła w skłóconej, spływającej krwią Południowej Ameryce, na kontynencie dyktatorów, konspiracji i gwałtów. Ale znajdują posłuch: widocznie rozsądek oczekiwany był od dawna z utęsknieniem. Wpatrzony we wzory przodujących państw Europy, udowadnia Battle, że wystarczy trochę wysiłku i dobrej woli, by i tutaj zapanowały idee humanitaryzmu, poszanowania własności, jak również rozwoju gospodarczego. Nie ma powodu, żeby Urugwaj po wieczne czasy tkwił w bałaganie i zacofaniu...

Wielki był wpływ tego człowieka na przyszłe losy państwa. Nie darmo nazwano Battle y Ordoneza „twórcą urugwajskiej nowoczesności" i porównywano go do reformatorów tego pokroju, co przywódca hinduski — Gandhi. Z ramienia partii „Czerwonych" dwukrotnie piastuje Battle urząd prezydenta. Za jego rządów państwo przejmuje wiele ważnych dziedzin gospodarki: produkcję nafty, ... stwo mięsa, rybołówstwo dalekomorskie, banki, sieć telefoniczną i zarząd portów. Źle się dzieje — głosi Battle — gdy nad tak ważnymi dziedzinami życia panują jednostki, chciwe i pozbawione skrupułów. Nieustraszony prezydent waży się także na rzecz niesłychaną: dopomina się o prawa... dla prostych ludzi, robotników fabrycznych!

Przemysłowcy popierają jego program: rozumieją, że robotnik źle opłacany, pozbawiony opieki lekarskiej nieoświecony — jest mało wydajny. Wiedzą, że bez poprawy jego warunków życia nie ma mowy o budowie silnego przemysłu. Obszarnicy wrogo wający natomiast, skupieni w partii „Białych", ani myślą o popieraniu reform: cóż im tam fabryki i europejskie porządki! Chcą, żeby Urugwaj pozostał taki, jaki był: oddany całkowicie w ich ręce, skazany na ich kaprysy i samowolę... Przeciwko „Czerwonym" wybucha powstanie zbrojne. Ale mimo tych wszystkich trudności, Battle dalej urzeczywistnia swój program. Urugwaj, jako pierwsze państwo w Ameryce Południowej, wprowadza ubezpieczenia pracowników na starość, ubezpieczenia chorobowe, zapewnia robotnikom ośmiogodzinny dzień pracy zasiłki na wypadek bezrobocia, zarządza obowiązkowe i bezpłatne nauczanie.

Battle nie lęka się również zniesienia niektórych ustaw stanowiących „oczko w głowie" kościoła katolickiego; zrównuje w prawach dzieci nieślubne ze ślubnymi oraz wprowadza rozwody.

Co przetrwało do dziś z wielkich osiągnięć Battle y Ordoneza?

Na papierze — wszystko. A w rzeczywistości?

Wielkie słowa zderzają się czasem z ponurymi faktami. Wróćmy jeszcze do wnętrza urugwajskiego parlamentu. We wspaniałej bibliotece spoczywają na półkach księgi we wszystkich językach, na stołach zaś gazety i czasopisma z całego świata. Wolno i nawet zaleca się czytać prasę wszelkich kierunków; Urugwaj nie boi się nikogo i niczego, nie boi się idei rewolucyjnych, bo — jak głoszą oficjalne publikacje — *„płace w Urugwaju odpowiadają dokładnie kosztom utrzymania robotników"* — zaś *„stosunki między kapitałem, a pracą w tym kraju nigdy nie były zbyt napięte, przeciwnie — układały się zawsze na płaszczyźnie szlachetnej harmonii".* Biblioteka jest miejscem nietykalnym: każdy obywatel ma tu prawo wstąpić i przebywać przez dowolny przeciąg czasu. Iżby zaś mógł oddawać się lekturze w najwygodniejszych warunkach, ustawiono w czytelni kilkanaście miękkich, klubowych foteli. Niestety, zdarzają się tu przykre niespodzianki; zamiast ludzi spragnionych wiadomości z kraju i ze świata przychodzą bezdomni, aby spędzić noc na wygodnych fotelach, spokojnie, bez nagabywania ze strony policji. Czasem spokój ich mącą tylko okrzyki strajkujących wznoszone niedaleko, tuż pod oknami parlamentu...

Muzealne wojsko

Przed pałacem prezydenckim trzymają wartę honorową żołnierze w strojach historycznych, wielobarwnych, szamerowanych złotem. Urugwaj, podobnie jak inne południowoamerykańskie republiki, lubuje się w paradach, przemarszach, manewrach, ale wojska i wojny nie traktuje się na serio — w przeciwieństwie do lat dawnych.

(Dokończenie na str. 13)

20 x camping

Z DOŚWIADCZEŃ TURYSTY

ANNA TATARKIEWICZ

OSOBY: mój mąż, ja, namiot zwany „psią budką".
CZAS: sierpień—wrzesień 1965.
MIEJSCE: Francja, Włochy, Jugosławia, Grecja, Węgry.

1 Po wyjeździe z Paryża pierwszy wieczór zastaje nas pod Auxerre. Już po ciemku, zjechawszy na boczne drogi (znakomite!), szukamy campingu nie „dzikiego", ale i nie za bardzo cywilizowanego. Po dłuższych niepowodzeniach — eureka! — w niewielkiej wiosce camping przy tradycyjnej pralni. Pralnia to basen z bieżącą wodą, osłonięty dachem na słupkach. Urządzenia: latarnia gasnąca o 23-ej, pompa z wodą do picia i „komfort" w budce. Oprócz nas biwakują jeszcze dwie rodziny francuskie z wielkimi namiotami i małymi dziećmi. W nocy przykrapia nas deszcz. Ale za to nocleg całkiem gratisowy.

2 Znacznie dłuższy, bo 3-tygodniowy, postój pod Chamonix. Doczepiamy się do polskich alpinistów, którzy z kolei są gośćmi młodych wspinaczy z Marsylii. Francuzi korzystają z szalasu, Polacy — z łąki, porośniętej gęsto marchwicą. Wprost nad nami linia wysokiego napięcia (a tu burze!), tuż za nią — las alpejski i lodowiec Taconnaz, a odpowiednio wyżej — ośnieżony Mont - Blanc. Nad wszystkim coraz to kołują helikoptery, wojskowe i ratownicze. Mycie w drewnianym korytku, zasilanym przez potok z lodowca. Pogoda — w kratkę. W najlepszym razie — we dnie upał, w nocy — nasza jesień. Pod koniec pobytu w szałasie Francuzów robi się luźniej i najgorsza plucha zastaje nas pod dachem. Przyznam się, że wyjeżdżałam stamtąd bez odrobiny żalu.*)

3 Tunelem pod Mont - Blanc dostajemy się do Włoch. Tu od razu słońce. Zachwyceni przepiękną doliną Aosty — góry, przełomy rzek, historyczne zamki! — dojeżdżamy do Ivrei. Pod miastem, nieopodal szosy, nad rzeką świeżo zainstalowany camping: lśniące łazienki wykładane kolorową ceramiką, ciepłe tusze, sklepik spożywczy i bar kawowy z bezkonkurencyjną włoską kawą. I po alpejskich zimnach pierwsza noc, w czasie której ani przez chwilę nie szczęka się zębami.

4 Mediolan. Do wyboru parę campingów, wtajemniczeni doradzają „Idroscalo". Trafić tam z centrum ogromnego miasta to nie lada sztuka, na szczęście mamy „pilota", a jest nim mistrz szermierczy Włoch, dr Breda, poznany dzięki naszemu chwilowemu, a miłemu towarzyszowi podróży, p. Kurczabowi (z kadry narodowej). „Idroscalo" przypomina podwarszawskie Zalesie: rozległe tereny w gaju nad jeziorem, domki campingowe i miejsce na namioty, a obok cale wesołe miasteczko: kawiarnie, restauracje, bary, dancingi, różne urządzenia rozrywkowe z mnóstwem nieodzownych „grających szaf". Towarzystwo międzynarodowe, dużo młodzieży, ale po 23-ej ciszę mącą już tylko samoloty, zdążające na pobliskie lotnisko.

5 Po zwiedzeniu Mediolanu — wspaniały Zamek Sforzów! — dojeżdżamy już tylko w okolice Pavii. Pod miastem skromny camping, bez komfortów, ale nad rzeką i w idealnym spokoju. Ruch nieduży, obok nas biwakuje młody Belg z bródką i uroczym „kociakiem", wyraźnie zaręczonym sytuacją. Rano, przy sakramentalnym „capucino" weseli Włosi z personelu „nabijają się" z „signoriny". Obowiązek składania paszportów u kierownika campingu uniemożliwia wszelką konspirację.

6 Camping boloński odpowiada wspaniałości miasta: obszerne, znakomicie zagospodarowane i oświetlone tereny w miejscu dawnej posiadłości podmiejskiej, której XVII-wieczne zabudowania zamykają plac imponującą fasadą. Publiczność bardzo rozmaita; sporo Anglików, którzy są bardzo miłymi towarzyszami biwaku: spokojni, zdyscyplinowani, jakby ich nie było.

7 Po Rawennie zatrzymujemy się na dwa dni odpoczynku w letniskowej miejscowości Punta - Marina. Camping przy plaży ustronnej, ale niestadnej, z rachitycznymi sosenkami. Instalacje nastawione na dłuższy pobyt gości. Camping całkowicie zmajoryzowany przez Niemców z NRF, zasobnych i hałaśliwych, oraz — przez komary. Te ostatnie skutecznie zatruwają nam pierwszą noc. Wstajemy cali w centki i radzi nieradzi za drogie liry nabywamy „Off", w istocie radykalnie odstraszający owady. Przyda nam się w Wenecji.

8 A właściwie pod Wenecją, w Mestre, gdzie zatrzymujemy się na noc, zjechawszy z „Autostrada della Serenissima". Camping jedyny w swoim rodzaju: wjeżdża się doń z ruchliwej szosy przez warsztaty samochodowe — i nagle niespodzianka: łąka pod topolami, po łące kicają króliki i snują się perliczki, obok jakieś grządki warzywne i sadzawki ze złotymi rybkami. Ludzi mało, prócz nas dwaj młodzi Francuzi, jakaś rodzinka angielska, nastrój całkiem domowy. Nikt nie żąda od nas dokumentów, nie kontroluje wyjazdów. Ten ostatni „dom" we Wioszech utrwala wrażenia, jakie skądinąd zostawił nam ten uroczy kraj, jego przyroda, wspaniałe zabytki i przemili ludzie.

9 Włochy opuszczamy z deszczem, który towarzyszy nam na zachodzie Jugosławii. Gdy wieczorem docieramy do Postojnej, niebo zaciąga się chmurami, z dala słychać nadchodzącą burzę. Camping mieści się spory kawał od miasta, w lesie, nieopodal słynnych grot. Organizacja campingu potwierdza wieści o wysiłku, podjętym w Jugosławii dla ożywienia turystyki. Turysta znajduje tu wszystko, od porządnych urządzeń sanitarnych po restaurację, nie mówiąc o wyjątkowo pięknym położeniu. Chciałoby się posiedzieć tu dłużej, ale czekająca nas daleka droga nie pozwala tym razem na postoje w Jugosławii. Zaraz rano ruszamy dalej.

10 W Belgradzie zatrzymujemy się na nowo założonym campingu, z wszelkimi urządzeniami, ale jeszcze bez drzew, bez trawy, z ziemią utłuczoną na klepisko. Ciepły wiatr szarpie nieosłoniętym namiotem. Rano gorący tusz i dalej do Grecji.

11 Planowany nocleg jeszcze w pogranicznej miejscowości jugosłowiańskiej — Gevgelija. Przyjeżdżamy z opóźnieniem, po nadprogramowym zwiedzaniu Skopje. Po nocy z biedą trafiamy na camping, bardzo skromny, „na doczepkę" do bardzo wytwornego motelu, obliczonego na turystów „dewizowych". Co gorsza — zarówno w wytwornym motelu, jak na campingu — zabrakło wody. Katastrofę spowodowała trwająca od tygodni susza. Zeschłą trawę pokrywa warstwa białego pyłu. Układamy się na spoczynek lepcy od kurzu i potu, by rankiem stwierdzić, że tuż obok płynie rzeka — Vardar — z wodą nieobfitą i zmętniałą, ale jednak wodą.

12 Te niepowodzenia wynagradza nam z nawiązką pierwszy postój w Grecji — pod miasteczkiem Platamon, u podnóży Olimpu. Zbocza górskie, porośnięte krzewami, schodzą aż prawie do samego morza, na wzgórzu wznoszą się ruiny wspaniałego średniowiecznego zamku obronnego Wenecjan, rozległa plaża, pokryta białym piaskiem — zlewa się z błękitnym, naprawdę błękitnym! — morzem. Poza bajkowym krajobrazem wszystko, o czym może zamarzyć dusza turysty: od restauracji, poprzez luksusowe urządzenia sanitarno-gospodarcze — zlewozmywaki z marmuru! — aż po żelazka do prasowania. Jedyny mankament to przebiegająca tuż obok ruchliwa linia kolejowa Saloniki—Ateny oraz — mszyce na topolach, sączące lepką sadź na namioty i sprzęt. Ale poza tym „Castle Camping" jest wymarzonym miejscem odpoczynku i odprężenia, zajedziemy tu w drodze powrotnej i chcielibyśmy jeszcze kiedyś zagościć.

13 Feralna trzynastka wypadła w Dafni pod Atenami. Plac campingowy, dawniej obszerny, rozpościera się na dość stromym zboczu pod drzewami, ale bez trawy. Przyjechawszy po południu, szybko rozbiliśmy namiot i ruszyliśmy pod Akropol. Dopiero wieczorem, syci wrażeń i zmordowani upałem, przekonujemy się co za czarowna noc nas czeka. Na drugiej, odciętej połowie campingu odbywał się doroczny festiwal winny. Uiściwszy niską opłatę wstępną, można tam przez całą noc raczyć się już za darmo winem — przy dźwięku dwu orkiestr — rywalek. W dodatku tuż pod naszym namiotem umieściła się grupa policjantów (było to w okresie największego napięcia politycznego) i z braku innych zajęć umilali sobie czas amatorskim konkursem śpiewu. Darli się jak koty w worku! Około północy, zrozpaczeni, postanowiliśmy szukać nieco ciszy i ochłody w wyższych regionach campingu. Skutki okazały się fatalne. Wóz utknął na stromej, krętej i sypkiej dróżce, a potem, pchnięty przez uczynnych sąsiadów — Francuzów, wylądował na drzewie, uszkadzając blotnik. Ostatecznie z biedą wjechaliśmy na szczyt campingu, by domęczyć się do rana, z kłopotami zjechać na dół i zdecydować się na hotel, w tych warunkach nie do uniknięcia.

14 Sielanką natomiast okazał się — jak przystało — nocleg w Arkadii. Uroczy camping, z dala od ruchliwych dróg, w gaju, obok cerkiewki i opuszczonego monasteru. Prócz nas dotarła tam jeszcze tylko jakaś rodzina niemiecka. Kierownik placu, sympatyczny staruszek, wyniósł się gdzieś na noc, pozostawiając nas samych na gospodarstwie z otwartym sklepikiem - altanką. Nad wszystkim czuwał tylko jasny księżyc w pełni, tocząc się — jak przed wiekami — nad pejzażem Arkadii.

15 W drodze powrotnej z Peloponezu, umęczeni podróżą i upałem, odpoczęliśmy w „Holiday village" w Kokkoni, nad Zatoką Koryncką, w domu campingowym pod — jak się okazało — „niemieckim zarządem". „Deutsche Leitung" była to wysoka, przystojna blondynka, władająca paru językami i dziękująca w imieniu właściciela, greckiego ekonomisty i autora książ o gospodarce jugosłowiańskiej. B to tam wygodnie, wzorowa czyst i prócz nas — sami Niemcy.

16 „Castle Camping" po raz v ry (patrz p. 12).

17 W Jugosławii tym razem n trzymaliśmy się w Nis dawno zainstalowany, ale drzewiony camping na najle ym europejskim poziomie. Jeden z nielicznych, gdzie — obok restauracji, przewidziano stoły dla turystów, jak my kucharzących we własnym zakresie. Przy campingu — kompetentna stacja obsługi samochodów. Polecam Nisz uwadze rodzimych organizatorów turystyki!

18 Gorzej było u granicy węgierskiej, w Subotlcy. Znaki campingu pojawiły się zawczasu, prowadziły nas do pewnego punktu, potem urwały się i ani rusz nie udało się ich odnaleźć. Ostatecznie zabiwakowaliśmy na trawniku w ośrodku turystycznym nad jeziorem, chroniąc się z kolacją do kabin kąpielowych. Ale przynajmniej wody było pod dostatkiem: pompa, jezioro i deszcz.

19 Budapeszt. Tu poczuliśmy się jak w domu: zaraz u wjazdu na camping ofiarowano nam „folder" po polsku, a i cały plac rozbrzmiewał dźwiękami mowy ojczystej. Na tematy — jakże by! — handlowe. Camping piękny, rozległy, ze starymi drzewami, nieopodal cieplic, doskonale urządzony. Nie masz to jak gościnność „bratanków"!

20 Dla dopełnienia 20-tki doliczam pierwszy nocleg w Polsce, w jednym ze schronisk tatrzańskich. Zjechaliśmy późno, gospodarzyliśmy sami do północy, a potem nie mogliśmy się dostać na dolną, ogrzaną salę, w której jakaś młoda parka zamknęła się na klucz. Ostatecznie powędrowaliśmy na lodowatą górkę, pościągaliśmy koce ze wszystkich łóżek i jako tako przebiedowaliśmy do rana. Tak to ojczyzna zgotowała nam dosłownie zimne przyjęcie.

*) A ja z wielkim! — Mąż.

ZAKAZ KĄPIELI

Lublin w Afryce

STEFAN JANUSIEWICZ

MORZE Bałtyckie to straszna utopia — powiedziała pewna intelektualistka z Lublina na plaży w Swinoujściu, spoglądając tęsknie w stronę morskich bałwanów swobodnie baraszkujących wśród fal. Było pięć w skali Beauforta — tego, który zrobił skalę morskiej pogody i podzielił ją na dziewięć części. Dziewiątka to sztorm, przy którym nawet starzy morscy wyjadacze markotnieją, a jeśli któryś z nich ma siłę, wychodzi na pokład, aby nie brudzić statku.

Było pięć w skali tego Beauforta — a więc wiatr, fale, ale pogoda na plaży do wytrzymania. Intelektualistka spoglądała zachęcająco w stronę morskich bałwanów, łakie połączenie rodzimych bitelsów z podrywaczami — gatunek znany pod każdą szerokością geograficzną. Zjeżdżają nad morze co roku smarują się na brązowo, wciągają slipy w paski i podrywają. Ach, jak podrywają! Działacze ze związku wędkarskiego niejednego mogliby się od nich nauczyć. Podrywają m. in. na to, że Morze Bałtyckie to taka straszna utopia i bez męskiej eskorty niech nikt nie waży się wchodzić do wody sięgającej powyżej pępka. Dowiedziono wprawdzie, że pływać to oni — morscy bałwani — umieją, ale w życiu, w wodzie, gorzej. Ale czy kobietom ktoś jest w stanie to wytłumaczyć, zwłaszcza kobietom intelektualistkom, które są przekonane, iż podrywane są ze względu na swój wyjątkowy intelekt, a nie na zawartość swego skąpego kostiumu?

Więc nasza intelektualistka przeżegnawszy się, wdzięcznie falując biodrami podeszła do brzegu, zanurzyła lakierowane na bordowo paznokcie prawej nogi, westchnęła „och" i zaczęła wchodzić do wody. Wprost na morskie bałwany.

Zanim opowiem dalszy ciąg tej dosyć pikantnej historii, parę słów wyjaśnienia. Przyznajmy na wstępie, że właśnie taki model kontaktu z morzem jest w naszym kraju najpowszechniejszy. Wykąpać się w morzu — kto tego nie lubi? Tylko artretycy nie cierpią morza. Ale czy z tego wynika, że w pełni doceniamy walor, jakim jest fakt, iż od Swinoujścia do Braniewa brzeg morski należy do nas? Kiedy byłem małym, cherlawym chłopcem i w Chełmie podczas okupacji wygrzebałem w piwnicy stare roczniki „Morze i kolonie" świat mi pokraśniał, wyolbrzymiał — był kuszący i tajemniczy. Nie kryję, że cały zapas chłopięcego patriotyzmu skierowałem w jedno marzenie: abyśmy czym prędzej wygrali wojnę z Niemcami i odzyskali najpiękniejsze miasto świata — Gdynię.

Taka mi się jawiła z kolorowych zdjęć szacownego pisma „Morze i kolonie". Czy mogłem w ogóle marzyć, że odzyskamy za jednym mocnym zamachem również Gdańsk i Szczecin i że będę mieszkał w tym uroczym Szczecinie i wąchał z bliska te wszystkie morskie egzotyczne sprawy? I że mimo zapewnień pisma „Morze i kolonie" nie będzie polskiego Madagaskaru? Na szczęście. Z własnym krajem mamy multum kłopotów.

A swoją drogą, jesteśmy dziwnym narodem. W dwóch gigantycznych przedsiębiorstwach armatorskich, w gdyńskich Polskich Liniach Oceanicznych i szczecińskiej Polskiej Żegludze Morskiej większość marynarzy od kapitana począwszy a na pomocniku stewarda skończywszy pochodzi z Lubelszczyzny, z warszawskiego, kieleckiego, rzeszowskiego i innych, zdawać by się mogło, morsko obojętnych województw. Najmniej jest w tej flocie ludzi z... Pomorza i z Mazur. Więc to nieprawda, że ludzie w tych „niemorskich" województwach wypinają się na morze, lub to, co wypinają, jedynie w morskiej wodzie moczą. To tylko ich miejscowa prasa jest morsko obojętna.

Ale wracajmy do naszej intelektualistki, bo pozostawiona samotrzeć jeszcze się nam utopi. Wchodzi to nieboże coraz głębiej, woda sięga jej do kolan, a wzrok błagalny oparła na zdrowych torsach bałwanów. Ten najbliżej stojący pyta obojętnie:

— Nauczyć panią pływać?

— Z rozkoszą — powiada intelektualistka.

— Z rozkoszą? — dziwi się w duchu bałwan. — Ależ to nie w takiej zimnej wodzie! Jak tu pływać i jednocześnie z rozkoszą. Ale początek znajomości został zawarty. Możemy więc na chwilę oderwać się od tematu, bo chciałem państwu jeszcze coś powiedzieć.

Więc w czasach, gdy mieszkałem w Chełmie na Wiejskiej, a do szkoły chodziłem na Szwoleżerów do pani Dworniikowej, pod której kierownictwem dwie moje niezapomniane nauczycielki pani Kicińska i Jadwiga Niżankowska wbijały mi do głowy podstawowe prawdy życia, w tym samym czasie w Londynie Jan Papuga z pomocą Antoniego Słonimskiego wydał pierwszą swą książkę „Szczury morskie". Była to książka łódzkiego syna robotnika, który zatęsknił za wielkim światem, obszedł piechotą dosłownie ziemską półkulę, budowała pierwsze kadłuby — tworzą dawni chłopi z lubelskiego, rzeszowskiego, zza Buga, ci, którzy nawet na mapie nie umieli kiedyś pokazać, gdzie jest nasze morze. Młoda kadra to już synowie tych chłopów: absolwenci szkół stoczniowych, do których trudno się dostać — taki tłok. Ale kto buduje te statki? W Szczecinie montuje się kadłuby i ich wnętrza z wyrobów całego polskiego przemysłu. Czterysta przedsiębiorstw, w tym z całej południowo - wschodniej Polski, pracuje na potrzeby tej stoczni. I kiedy przed paroma tygodniami spłynął z pochylni „Odra" w szczecińskiej stoczni sześciotysięcznik motorowiec „Lublin", w jego bebechach jest robota ludzi i z Lublina i ze Stalowej Woli i z setek innych miejscowości. Gdy stoczniowcy zakończą montaż „Lublina" wezmą go w posiadanie marynarze, być może z lubelskiego, i popłyną nim do Afryki. Po apatyty dla nawozów sztucznych poszukiwanych w Lubelskiem. Tak więc Bałtyk — ta straszna utopia — ma swój bardzo praktyczny sens i szkoda, że czytelnik w głębi kraju, tak mało może o tym morzu i jego sprawach przeczytać.

Tymczasem ściemniło się i nasi znajomi wyszli z kolących zarośli, aby poszukać ubrania w licznie rozstawionych koszach plażowych. Gdy wreszcie znaleźli właściwy kosz, księżyc wytoczył się nad Wielką Wodę i połyskuje o niej jak wędkarskie błyski. A ci młodzi nie wychodzą coś z kosza. Nie wykluczone, że nasza intelektualistka zapragnęła powdychać trochę wszystkimi porami ciała — jodu, jaki niesie ze sobą słona woda Bałtyku, a ten bałwan morski podjął się odpowiedniego masażu dla rozgrzewki i w ogóle dla dobrego samopoczucia. Przyznacie, że to ohydna, banalna historia z tymi dwojga, nie warta nawet wzmianki w tak poważnym piśmie. Nikt tego nie przeczyta.

Ponieważ jest już wyraźny odpływ — odpłyńmy i my z plaży. Nic tu po nas.

w pierwszej lekcji pływania w strasznej utopii. Ten bałwan trzyma ją w pół, ale chyba powyżej pasa, a ona trzepie rozkosznie nogami wodę. Zdaje się, że w tej dziedzinie jest równie pojętna jak i w innych, bo po niecałej godzinie opuszczają oboje zimne fale Bałtyku, aby dać odpocząć ciału w pobliskich zaroślach. Nie idźmy tam, bo jako świadomi obywatele wiemy, że nie wolno deptać na wydmach wysokiej morskiej trawy, a przez lornetkę też niewiele zobaczymy.

Zanim ci młodzi, nieuświadomieni wrócą, opowiem jeszcze państwu jedną ważną rzecz.

Jest w Szczecinie stocznia — siedem tysięcy ludzi w niej pracuje — która produkuje statki. Oprócz niej są tu stocznie, które potem te statki remontują. Ale nie to chciałem powiedzieć. Chciałem zastanowić się, kto właściwie te statki w Polsce produkuje? Jeżeli chodzi o ludzi to znowu rzecz dziwna. W stoczni szczecińskiej starą kadrę, tzn. tę, która w latach 40-tych odbudowała tę stocznię i

WRÓŻBY

ADAM JANUSZ BIEŃ

JESZCZE nie przemknęły przez miasto czołgi z czerwoną gwiazdą wymalowaną na stalowych pancerzach, a ja wiedziałem już, że coś się stanie, że zmiana jakaś nastąpi, bo chociaż nikt mi o tym nie powiedział, sam do tego doszedłem własnym rozumem, gdyż Mońka spostrzegłem, jak się skradał między domami.

— Rozstrzeliwanie będzie — rzekłem i moja babka zatrzęsła się nagle, jej żółta twarz pobielała niby płótno na słońcu — Mareczku — mówi — czego pleciesz bez potrzeby, złego nie wzywaj, o Matko Najświętsza...

A głupi Moniek szedł między domami, koło murów się snuł jak cień, z bramy do bramy skakał, oczy mu biegały niespokojnie, ludzi unikał, ponieważ oni nie lubieli go za bardzo. — Po co to żyje — powiedali — po co zabiera powietrze, tylu porządnych mężczyzn ginie na froncie, a ta niedojda, ten pomiot bękarci wciąż po świecie chodzi i nieszczęście tylko przynosi, i kiedyś — zobaczycie, kochani — spalą nas za niego, do obozów wywiozą Oświęcimia lub Majdanka, może więc lepiej zwabić go jak psa albo skapować, powiedzieć żołnierzom, co i gdzie, nakaz jest taki przecież, a żołnierze zrobią już z nim, co zechcą.

Tak mówili ludzie w naszym mieście i chyba zrobiliby to, o czym myśleli, ale Moniek nie był całkiem głupi, kilka klepek zostało mu jeszcze w głowie i czuł, co pachnie w powietrzu, i krył się i nocą jedynie wychodził na żer jak dziki kot; oczy mu świeciły, a on biegał, szukał, lecz o żarcie było coraz trudniej, skórki chleba w śmietniku nawet nie znalazł, bo wszystko zjedzone, wylizane do czysta, nikt zimą nie sypie ptakom okruszynek, ceni się teraz każdą skórkę, każdy okruch, ptaki zdychają z mrozu i głodu, no a wiosną wcale nie jest lepiej, pola jeszcze czarne, spod śniegu dopiero wyłażą, chleb drogi jak złoto i dopiero latem nieco lżej, bo ziemia zaczyna rodzić, jednakże niewiele to daje Mońkowi, który musi się kryć, aby nie umrzeć. I nikt nie wie, gdzie on mieszka; nikt nie wie, gdzie śpi; chyba diabeł mu pomaga — mówią ludzie — ponieważ inaczej tego zjawiska wytłumaczyć nie można.

Kiedy ostatni raz widziałem Mońka, stłukłem sobie kolano. To nie było zwykłe zadrapanie skóry, trochę krwi i piekącego bólu — to była rzecz znacznie poważniejsza: kolano spuchło, wielka guła wyskoczyła, kość chyba pękła i dlatego modliłem się do świętej Teresy, żeby mi noga nie zgniła, gdyż mocne nogi w tamtych czasach oddawały człowiekowi ogromne usługi. Kląłem więc tego Mońka, kląłem swoje nieszczęsne kolano, modliłem się, babka robiła mi okłady z kwaśnej wody i wreszcie przeszło samo z siebie, ponieważ organizm mam zahartowany, przyzwyczajony do różnych chorób. Ale od tego czasu boję się spotykać Mońka, który zawsze coś ze sobą przyniesie i zawsze coś się wydarzy, jeżeli zobaczę go na ulicach. To nie są bajdy, to prawda! Tak było przecież w tym dniu, kiedy postawili ludzi pod murem: głupi Moniek wałęsał się w tłumie stojącym milcząco na rynku, a tamci spod muru ratusza spoglądali na nas i mieli zdziwione miny, i cisza panowała, żołnierze tylko szwargotali, a potem oficer wydał rozkaz, podniesiono karabiny i wtedy ktoś krzyknął: „Niech żyje..." — tylko nie wiem co: tylko nie wiem kto miał żyć, bo tamten nie dokończył, urwał, zachwiał się na nogach, upadł na ziemię, ale zanim upadł, sunął plecami po murze, zjeżdżał na plecach z tego muru patrząc na nas szklanym wzrokiem i moja babka nie wytrzymała tego spojrzenia i chwyciła mnie za rękę: — Chodź synku, tak nie wolno, to grzech, ja dużo śmierci widziała, lecz na taką nie chcę patrzeć... I właśnie od tego dnia jeszcze bardziej zacząłem wierzyć w Mońka; ten wypadek utwierdził mnie w moich przekonaniach. Wiem, że to trochę śmieszne, bo, wy, ludzie, wierzycie w najrozmaitsze wróżby: w dobrego Pana Boga, w pasjansa i w papugę, co wyciąga szczęśliwy los, i w pająki, których nie wolno zabijać, i wierzycie również w inne rzeczy, jak na przykład mój kumpel w powrót swego ojca, ja...

Wiara, którą miałem, zabijana była systematycznie, dużo można byłoby mówić na ten temat, lecz nie będę ględził, powiem tylko jedno: od czasu, kiedy rąbnęli wróżkę w sam brzuch, moja wiara stopiła się jak zeszłoroczny śnieg. Przedtem jeszcze sądziłem, że ojciec przyjedzie, że matka się odnajdzie, teraz nie myślę o tym i tylko czasami zastanawiam się, dlaczego tak się stało, dlaczego zabili nam wróżkę?

Po tym wydarzeniu, które zaszło, moja babka bardzo się załamała, śmiem twierdzić, że bardziej aniżeli ja sam. Ta wróżka była bowiem jej koleżanką; razem chodziły na nieszpory, wspominały dawne czasy, jak to się żyło na Podolu i w ogóle. Obecnie babka została sama, ze mną jedynie, tamtej już nie ma, bo zastrzelili ją w biały dzień jak hycel wściekłego psa.

Mieszkała naprzeciwko. Domek podobny miała do naszego, drewniany na podmurówce, pożydowski, obok domku znajdował się ogród z połamanym płotem i ona upadła właśnie na ten płot i wisiała na nim... a przedtem, gdy jeszcze żyła, przychodzili ludzie do niej z całego miasta zadając jej pytania: Kiedy to się skończy? Czy on wróci? Nic nie pisała ostatnio, może jest chora? Biały koń śnił mi się w nocy, co to ma oznaczać, proszę pani? Odpowiadała im: — Koniec wkrótce nastąpi. Karta powiada, że będzie gość, to na pewno on. Nie ma żadnej choroby, karta mówi, co inne: wiadomość jakaś, list w drodze...

Umiałem na pamięć te wszystkie pytania i odpowiedzi. Często bowiem leżałem w krzakach bzu rosnących pod jej oknami, słuchałem... Te pytania i odpowiedzi tak bardzo były podobne do siebie, iż zacząłem posądzać ją o szachrajstwo. Ale ludzie mówili, że ta wróżka jest dobra, że jej wróżby zawsze się sprawdzają. I pewnego razu — w dzień pochmurny i smutny, kiedy czarna rozpacz coraz bardziej mnie ogarniała, postanowiłem wyrwać się z krainy niewiedzy, bo lepsza najgorsza wieść niż pełne napięcia oczekiwanie... Poszedłem do niej i zastałem ją siedzącą przy stole, układała karty.

— Dzień dobry! — powiedziałem — Czy mogłaby pani na kredyt albo pod zastaw...

Nie podnosząc oczu znad stołu, nie przestając tasować swoich kart, zapytała, o co mi chodzi, czego jej przeszkadzam, co właściwie mam do sprzedania?

Powiedziałem, że nic. Powiedziałem, że chcę sobie tylko powróżyć. I wtedy spojrzała na mnie, uśmiechnęła się: — Dobrze — rzekła — możemy...

— Po wojnie pani zapłacę.

Machnęła niecierpliwie ręką.

Rozłożyła na stole karty. Patrzyłem na jej zwinne palce i drgnąłem nagle, bo z talii kart wypadła Dama, serce miała czerwone jak krew. Wróżka zapytała:

— Czego chcesz się dowiedzieć...

— Czy ona wróci?

— Kto?

Przełknąłem nerwowo ślinę:

— Matka.

— Tak — powiedziała.

— A ojciec?

— Też.

I teraz zadałem pytanie najważniejsze:

— Kiedy?

— Karta nie mówi, karta milczy, karta nie chce powiedzieć, tajemnica, zaraz... aha, ten przyjazd będzie niespodziewany, już niedługo, bądź dobrej myśli, czeka cię przyjemna wiadomość, będziesz miał dużo pieniędzy, a oni, oczywiście, wrócą, sprawią ci niespodziankę...

Od tej chwili budziłem się zawsze z wielką nadzieją w sercu. I chociaż już nie spałem, nie podnosiłem się z pościeli, nie otwierałem oczu, bo myślałem sobie tak: zaraz zobaczę mamusię koło siebie i zobaczę ojca, wróżka przecież mówiła, jej słowa muszą się sprawdzić i może oni już są, może przyjechali nocnym pociągiem, siedzą obok mego łóżka, przywieźli mi biały chleb... A potem, gdy nacieszyłem się swoją radosną myślą, podnosiłem nagle powieki i zamiast zobaczyć mamusię koło siebie, zamiast zobaczyć ojca — widziałem jak babka szcza do blaszanego nocnika, który sama sobie zrobiła ze starej puszki po konserwie. — Na Podolu był elegancki klozet — mówiła — przekleństwo ta wojna!

No i nie przydarzyła mi się w życiu żadna niespodzianka. Wróżkę tylko rąbnęli i babka została sama, nie ma z kim pójść na nieszpory, nie ma z kim pogwarzyć sobie o tym Podolu, bo mnie nic nie obchodzi jakieś tam Podole, jeść mi się chce, o przyszłości raczej myślę, gdyż przeszłość minęła i jest już poza mną, więc zastanawiam się, czy będzie kiedyś chleb, masło i sól? A babka — nie umiejąca wybiegać myślą tak daleko jak ja — rozpacza: Taka zacna kobieta z niej była — mówi — taka pobożna i uczciwa, najżyczliwsza sąsiadka ze wszystkich i nie dali jej żyć, łotry przeklęte, zabili...

W sam brzuch dostała. Chyba z maszynowego, bo zaterkotało nagle, a potem cisza. — Zostań! — krzyknęła wtedy babka. — Nie wychodź! — Nie posłuchałem, byłem już na podwórzu. Czyżby partyzanci? — myślałem spoglądając w stronę lasu i oczy przysłoniłem ręką, gdyż słońce oślepiało. Ale pod lasem panował spokój: kozy pasły się na łące, jastrząb krążył nad drzewami, ptaki śpiewały jak zawsze. I dopiero po chwili spostrzegłem tę kobietę, leżała pod płotem w kałuży krwi. „Rąbnęli ją", szepnąłem i moja babka, która jest głuchawa, nie zrozumiała co mówię. — Nie słyszę — rzekła. — Proszę powtórzyć.

— Rąbnęli ją — krzyknąłem — z maszynowego! I babka bardzo się zdziwiła.

— Co, jak, kogo? Co ty wygadujesz, Mareczku...

— Wróżkę zabili.

— O Jezusie... — jęknęła. Jezusie najsłodszy... — I mimo swej starości, mimo podagry, która ją męczyła, zaczęła biec, dopadła pod ten płot, schyliła się nad leżącą, rzekła: — Sąsiadko, odezwijcie się, sąsiadko...

A głupi Moniek skradał się między domami. Dojrzałem go, chociaż był bardzo ostrożny i kiedy zauważył mój wzrok skoczył zaraz w krzaki. To on — powiedziałem do siebie — tylko on wie, że coś się stanie, że kogoś zastrzelą lub powieszą, on chyba mądrzejszy jest od wróżki, skoro żyje, a tamta była durna, bo mogła wyczytać wszystko z kart i wcale nie musiała umrzeć.

Mój kumpel, pyzaty chłopiec z sąsiedniej ulicy, był tego samego zdania: Masz rację — powiedział — gdybym ja był wróżką, to bym zwiał...

— Dlaczego tak nie postąpiła?

— Cholera wie...

— A może właśnie wiedziała, może karty jej wywróżyły?

Nie wiadomo. Bo ona nic nam już nie wyjaśni, leży, milczy, wkrótce zakopiemy ją w ziemi i nikt nie dojdzie teraz prawdy. Ona nie odpowie na żadne pytanie, gdyż przysypiemy ją piachem, posadzimy na niej kwiaty.

Od tego zdarzenia przestałem właśnie wierzyć. Nie ma czarów — myślałem — nie ma wróżek, są tylko karabiny, bomby i granaty, które rozwalają za jednym zamachem najmocniejsze domy i najsilniejszych ludzi.

Powiedziałem o tym Pyzatemu, a on jedynie głową skinął i nie musiałem go wcale przekonywać, natomiast ten, z którym grzebaliśmy wróżkę, ten duży, co mu się już wąs pod nosem sypie, wzruszył ramionami: — Nieprawda! Chciał mi coś jeszcze powiedzieć, lecz rozmyślił się widocznie, machnął z rezygnacją ręką:

— Nie zrozumiesz tego i tak... Potem wziął łopatę i odszedł na bok, usiadł w cieniu krzewów. Wtedy nachyliłem się do Pyzatego:

— Ej gruby!

— Co jest?

— On płacze.

— Kto?

— Sławomir.

— Stuknął się w kostkę?

— Nie — rzekłem — on nie płacze z powodu fizycznego bólu, on płacze za tą wróżką, że ją zastrzelili, bo oni mieli ze sobą jakieś tajemnice, konspiracja czy coś... całowali się jak Boga kocham, widziałem przez okno. Patrz, jak beczy!

— Taki duży chłop! — zdziwił się Pyzaty. — Kto by pomyślał! Czekaj, zobaczę z bliska.

— Lepiej zostań — rzekłem — on jest nerwowy. Zresztą już idzie.

Kiedy przyszedł, zapytałem: Panie Sławomir, krzyż dajemy?

— Jak chcecie.

Daliśmy krzyż, bo to zawsze przyjemniej dla oka. Potem zmówiliśmy pacierz i każdy wrócił do swoich zajęć, każdy z nas poszedł do swojego domu. Babka jeszcze płakała: — Taka zacna — mówiła — taka dobra, cnotliwa i pobożna, i nawet bez księdza... Babka to ma wymagania. Jeszcze przedwojenne. Bo skąd ja wezmę księdza. Z całej parafii organista tylko został, księża gdzieś się zapodzieli, ostatecznie można było pogadać z tym organistą, ale ludzie twierdzą, że on się boi, że nosa z mieszkania nie wychyla czekając aż trochę przycichnie. Tymczasem jest na odwrót. Nie ma spokoju na świecie, głupi Moniek gania po ulicach jak by się wściekł, na wschodzie grzmi, łunę widać wieczorem, palą się wioski i miasta, ludzie patrzą w tamtą stronę i mrugają do siebie porozumiewawczo okiem: „Ruskie już idą, tamci kaput". A żołnierze, którzy przegrywają wojnę, są teraz jak osy: jakieś głupstwo, jakieś byle co i zaraz kula w łeb, zupełnie bez powodu, jak na przykład z wróżką. Nikt nie wie, za co ją rąbnęli, jedni mówią, że za radio, drudzy, że była w partyzantce, trudno dociec prawdy. I sądzę, że chyba Moniek tylko wie, on jeden — mimo że głupi — umiałby mi wyjaśnić śmierć wróżki i może odpowiedziałby na pytanie: dlaczego? Bo tak zwani normalni ludzie nie dają mi żadnej odpowiedzi, która mogłaby mnie zadowolić. A on, Moniek, był naocznym świadkiem, widział, jak ją mordowali, gdy skradał się wtenczas przez ogród, lecz ja go zauważyłem i później, już w domu, nie mogłem długo zasnąć, ponieważ wciąż stali mi przed oczyma: on, głupi i nieszczęśliwy, i ona ta kobieta jej czerwony brzuch, gołe nogi, wysoko zadarta spódnica. I widziałem również Sławomira, który płakał. Jego szloch w końcu mnie wzruszył. Przyniosłem mu wiadro wody. Pij pan, panie Sławek, zimna woda dobrze robi, przestanie pan szlochać i czkawka panu minie. „Spieprzaj", krzyknął, a gdy ją zakopaliśmy, zacząłem myć piaskiem ręce, szorowałem je pół godziny, bo wydawało mi się, że cuchną trupem i leżąc już w łóżku nie mogłem zasnąć, wciąż myślałem o tym wszystkim, sen miałem krótki, nerwowy, budziłem się co chwila. Babka gadała przez sen wołając po imieniu dziadka, pewnie znów śniło jej się Podole, jutro będzie mi o nim opowiadać. Łóżko trzeszczy, przewracam się z boku na bok, szeleści słoma w sienniku, coraz gorzej myślę — do czego to jeszcze dojdzie, wróżkę nawet zabili, ona była jednak bardzo głupia, karty mogły jej przepowiedzieć albo po prostu wszelka wiara to fałsz, nie ma sensu wierzyć nawet w karty nie mówiąc już o innych rzeczach, wszystkie wróżby są diabła warte i nie wiadomo, czy wróci matka, czy odnajdzie się ojciec...

— Zbudź się, Marek, umyj ręce i zmów pacierz!

Otwieram oczy. Babka już się wyszczała i ma dobry humor, targa mnie za ramię, uśmiecha się bezzębnymi dziasłami: — Sen miałam piękny — mówi — Podole mi się śniło.

Wyskoczyłem prędko z łóżka; ubieram się pośpiesznie, babka ględzi, nie mam ochoty słuchać jej gadania.

— Niech szlag trafi Podole! — krzyczę.

— Gdzie jest chleb?

— Nie ma — mówi babka. — Ale na Podolu był pszenno-razowy, jaki chcesz do wyboru, na przednówku najwyżej brakło.

Już miałem coś powiedzieć, już cisnąłbym jakieś brzydkie słowo, lecz spojrzałem w okno, bo cień mignął mi przed oczyma. Moniek się skradał: od domu do domu, od bramy do bramy, jak złodziej. Serce mi zabiło. Ręce spociły się od razu: mokre są i zimne. Znów ten cholernik — myślę — znów coś ze sobą przyniesie... Rozstrzeliwanie będzie — rzekłem i babka zamilkła przestając ględzić o Podolu. — Co ty, Mareczku, dlaczego, bój się Boga...

— Tak — powiedziałem i wtedy ostry gwizd przeciął powietrze. Babka drgnęła:

— Cóż to? — Gestapo — rzekłem, jednakże to nie było gestapo, tylko mój kumpel, pyzaty chłopak z sąsiedniej ulicy, rzekłem tak jedynie dla zabawy, bo chciałem postraszyć babkę, pragnąłem, żeby oderwała się od swoich mrzonek i żeby zaczęła żyć nie przeszłością, lecz dniem dzisiejszym.

Pyzaty czekał na mnie w krzakach bzu.

— Co słychać — zapytał — wyspałeś się, chyba gdzieś pójdziemy?

— Owszem — odparłem. — Ale głodny jestem.

— Ja też na czczo, do komunii mógłbym pójść...

— Więc pójdziemy.

— Gdzie? Do komunii?

— Nie. Wydoimy raczej staremu kozę, mleko [illegible]

Poszliśmy na łąki ciągnące się wzdłuż lasu; tam obok krzaków siedział staruszek i trzymał na postronku kozę. Pyzaty zaczął go drażnić: — Ty łotrze — krzyczał do niego — ty zdrajco ojczyzny, dlaczego nie walczysz na froncie, dlaczego nie jesteś w partyzantce? Staruszek był patriotą i nigdy nie wytrzymywał gradu naszych obelg, zrywał się i gonił pyzatego chłopca, wtedy ja podchodziłem do kozy, doiłem ją pijąc mleko. Potem robiliśmy odwrotnie: ja drażniłem staruszka, a Pyzaty zaspokajał głód. Cmokając pośpiesznie kozi cycek, zastanawiałem się niejednokrotnie, kiedy wreszcie napiję się do syta, kiedy będę miał własną kozę i kawałek pola, na którym posadzę pszenicę? I kiedy wreszcie na polach przestaną pękać granaty, a pszenica zacznie dojrzewać? Podzieliłem się swoimi myślami z pyzatym chłopcem: Pyzaty rozłożył bezradnie ręce: — Pytasz, kiedy to nastąpi... No cóż, chyba dopiero po wojnie. Ale kiedy skończy się wojna, Pyzaty nie wiedział. Wróżka mówiła, że wkrótce. Czy można jednak ufać jej przepowiedniom, skoro sama nie umiała wywróżyć sobie losu?

Myślałem o tych wszystkich rzeczach, gdy leżeliśmy na łące. Trawa była już dosyć wysoka; jeśli położyłeś się na wznak, sięga ci ponad głowę. Gryzłem w zamyśleniu długie zielone źdźbło i miałem czkawkę. Odbijało mi się po tym kozim mleku, brzuch nie chciał trawić, przyzwyczajony do buraków, sacharyny i szpinaku z liści pokrzyw. Nagle usłyszałem obok czyjeś kroki.

— Żołnierze — szepnąłem — Pyzaty, trzeba wiać.

Tamten już patrzył, odgarniał rękami trawę obserwując łąkę.

— Nie ma strachu — powiedział po chwili — to Anka.

Postanowiliśmy ją nastraszyć. Gdy zbliżyła się do nas na odległość kilku kroków, Pyzaty wrzasnął:

— Halt!

Stanęła, zbladła, podniosła do góry

(Dokończenie na str. 11)

Z TWÓRCZOŚCI POETÓW LUDOWYCH

JAN R. BOROWIEC

Słoneczniki

Wyszliśmy na drogę
pełną słoneczników

pod jednym z nich
pracowita pszczoła

rozczesałaś złote włosy
zerwanego słonecznika
grzebieniem palców

kiedy rzekłem
warto podarować mu miłość
odpowiedziałaś
szepcząc oczyma
tak

Lubenia, pow. Rzeszów

IRENA SUSZYŃSKA

Późna jesień

W kolorze ołowiu tumany mgieł
Włóczą się po ziemi,
Dygocą nagie drzewa,
Zmarły białe chryzantemy —
Smutna jesteś, jesieni.

Na próżno szukam w lesie
Uśmiechów sierpniowych,
Niebo deszczem płacze,
Lecą czarne widma — wrony —
Bezdomni tułacze.

Augustów

ADAM PACH

Grzysyła urodom

Kaśka ze Zogród nie była urodno, ba, straśnie brzyćko. Ale duzo o sobie myślała tak sie jej widziało, ze nad niom ni mas dziewki w okolicy.... Kie sła bez wieś, syćka ku niej spozierali, bo miała głowe wysoko i cudowali sie jej brzydotom, ona zaś myślała, ze dziwujom sie jej urodom.

Jednego roku w poście ku Wielkiej Nocy spowiadała sie Kaśka, zaś za niom pełno parobków na spowiedź cekało. Kie juz syćkie grzechy wypedziała Jegomościowi, tak dość głośno skończyła, co parobcy słuseli:

— Grzesyłak urodom!

Ksiądz choć stary, z ciekawości wyjrzoł na niom i pedzioł:

— E, to ci wolno...

Wte parobcy na głos sie ośmieli.

Tak to wej, kie urody nima, wolno niom grzysyć...

Zakopane

Panowie ucie-kajcie!

(Dokończenie ze str. 1)

spokojnie. Chcemy tę sprawę załatwić bez krzyku. Chcemy robić interes tylko z panią.

Jest oczywiste, że to lewy interes. Sprzedawczyni już rozumie...

— Chciałabym to uzgodnić z kierownikiem. Pół tony, mówią panowie, po dziesięć złotych kilo...

Kujemy żelazo póki gorące...

— Niechże pani zrozumie, mamy okazję, jutro leci tu wóz, dostarczamy towar na miejsce. Dostarczamy szybko, cały ładunek. Towar nie może czekać, brzoskwinie się psują...

— Chyba by poszły, tylko... u nas w mieście nie było jeszcze brzoskwiń. Mogą się doczepić. Wydział Finansowy naprzeciwko. Wiecie co, panowie, pomyślę. Trochę tego jest za dużo. Może by chcieli w pawilonie wziąć połowę?

— W którym pawilonie?

— Tu na rogu, parę kroków.

Idziemy do pawilonu. Nie jest to solidny pawilon; gdzie ona tu zmieści te skrzynki z brzoskwiniami? — zaczynamy się martwić.

— Ale nie mogę panom wystawić kwitu, nie mam pieczątki — mówi sprzedawczyni.

— To my pani damy kwit — zaczyna się gorączkować kolega — na grubo większą sumę...

Czujemy, jak bardzo zaczyna nas ta gra porywać. Po prostu wygląda na to, że nam strasznie zależy na tych cholernych brzoskwiniach.

— Wzięłabym panowie, wzięłabym nawet chętnie, tylko gdzie ja to złoże? Rozkradną ludzie...

Istotnie, kiosk maciupki...

— Ma pani rację — mówimy fachowo — tyle towaru tu się nie zmieści...

Kobieta jest zadowolona, cenimy w niej dobrego, skrzętnego gospodarza stoiska. Odwdzięcza nam się dobrą radą:

— Mogliby panowie jeszcze w tym sklepie spróbować, ale tam kierowniczka nowa — boi się!

*

U fryzjera kierujemy rozmowę na automobilizm. Dowiadujemy się, że fryzjer lubi wprawdzie jeździć autem, ale woli obok kierowcy. Taksówki mu wystarczą. Co innego żona, żona marzy o własnym samochodzie...

— Świetnie się składa — mówimy obojętnie — mamy wózek do sprzedania.

— Jaki?

— Stoi tam przy krawężniku. Nawet tanio chcemy, trzydzieści patyków.

Fryzjer się załamuje, rzuca brzytwę, wybiega. Wraca.

— Panowie nie żartują?

— Skądże. Sprzedajemy tanio, ale musimy to zrobić szybko.

Mistrz brzytwy nie może ochłonąć, patrzy na nas z niedowierzaniem. Czujemy się trochę niepewnie. Przed chwilą dopiero przyczepiliśmy gumkami numery rejestracyjne zrobione przez naszego plastyka w redakcji na kawałkach kartonu. Może fryzjer zauważył?

— Trzydzieści tysięcy, powiadają panowie. To bardzo tanio, przecież Wartburgi w cenie... Panowie z Warszawy?

— Ahm — odpowiadamy. — Jak pan nie weźmie, to niech pan nam przynajmniej powie, gdzie go można sprzedać? Musimy go opchnąć dziś, no w najgorszym wypadku jutro...

Fryzjer jest człowiekiem bystrym i rozsądnym, więc pyta:

— Coś nie tak?

— Ależ skąd, wszystko tak, tylko, że nam się straszliwie spieszy... Może ma pan tu kogoś, jakiegoś mechanika, który by go wziął na części?

— Na części? Taki porządny wóz?

Milczymy, właściciel Wartburga jest mile połechtany. Ten się przynajmniej poznał na rzeczy!

— Spróbujcie panowie — powiada ostygły już całkowicie fryzjer — u pana...

Notujemy adres.

*

Wjeżdżamy wprost na podwórko, obok starych błotników i pogniecionych drzwi jakiegoś wozu szef zrzuca siano. Przez chwilę tłumaczymy, o co chodzi.

To ten wóz? Tak? Jadziu, daj marynarkę! Jedziemy panowie!

Na ulicy zatrzymujemy wóz i mówimy, że nie mamy żadnych dokumentów. Pytamy, czy nie rezygnuje. Skądże, jeszcze przynagla, chociaż zachowuje się mniej pewnie. Prowadzi nas przez miasteczko, które już trochę zdążyliśmy poznać. Wreszcie to decydujące skrzyżowanie. Kilkanaście metrów dalej komisariat milicji. Ani chybi tam nas doholuje. Ale nie. Zobaczymy co z tego będzie. Całą drogę zachwalamy maszynę. Chyba niepotrzebnie, bo facet zna się na samochodach. Widać z rozmowy, że nie chce na razie myśleć o tych papierach, których nie ma. Wreszcie jesteśmy na miejscu. Mechanik wchodzi do chałupy.

Oglądamy wóz i z przykrością stwierdzamy, że papierowe numery kiepsko się trzymają. Na kilometr widać, że są z bristolu.

Po chwili mechanik prowadzi „kupca". Bez słowa zabierają się do ogledzin wozu. „Kupiec" huśta wozem, sprawdza amortyzatory, włazi pod podwozie.

Podnoszę klapę silnika, starając się zasłonić te nieszczęsne numery, kolega robi to samo z tylnymi.

— Wóz dobry — stwierdza mechanik. — Ale co z tymi papierami? Panowie załatwią jakieś papiery?

— Nie — jesteśmy twardzi — jakbyśmy mieli papiery, to byśmy sprzedali za dziewięćdziesiąt.

— Z papierami dajemy sześćdziesiąt — próbuje mechanik. Odchodzi od wozu i dostrzega papierowe numery. Mamy okazję dokładnie obejrzeć faceta, któremu „wyraźnie rzednie mina". Obserwujemy cały proces. Obchodzi z daleka wóz, odchyla tylną tablicę z papieru.

— Ślisko — powiada. — On może być kradziony.

Och, żabki śliczne, dopiero teraz się połapały...

— Panie, czy my wyglądamy na takich? — Wzburzenie odbiera nam mowę, która zresztą i bez popisów aktorskich wypada słabo. Niemniej mechanik zmienia temat:

— Zagraniczny? — To z powodu nalepki z Mistrzostw Świata w NRD, której nie mieliśmy jeszcze czasu zeskrobać.

— Chyba zagraniczny — przytakujemy niepewnie.

Mechanik przeciera zroszone potem czoło...

— I panowie się nie bali? Aż z Warszawy? — Wyraźnie nabiera do nas szacunku.

Jesteśmy skromni — phy nie takie rzeczy...

Nabywcy rozmawiają między sobą: „Skoczyć by do Wacka, co ci Wacek, samochód nie ciele, żeby to był motocykl, albo żeby był w pobliżu jakiś rozbity Wartburg, podmieniliby się wszystko, przebiło numerki, ale gdzie tu szukać rozbitego Wartburga, kupić i melinować w szopie?

— Szkoda gadać, panowie. Tu nie Warszawa. Tu małe miasteczko, tu taki numer nie przejdzie.

— Szkoda — mówimy.

— Szkoda — potwierdza znajomy mechanika. — Miałem na niego chęć. O, żeby to był motocykl...

— ...ale samochód — żałuje mechanik. Żegna się z nami. Nie chce, żebyśmy go odwozili kradzionym samochodem.

*

W salonie radio - telewizyjnym postanowiliśmy zakupić pięć odbiorników radiowych, tranzystorowych „Berlin" produkcji NRD. Wiedzieliśmy, że odbiorników takich nie ma w całej Polsce. Tu ich, oczywiście, też nie było.

— Ale płacimy po cztery tysiące (w sprzedaży kosztują 3000).

— Pięć sztuk? — pyta jeszcze raz kierownik.

— Tak pięć i to możliwie szybko — przecinamy dyskusję.

— Muszę zadzwonić do magazynu — kierownik wyraźnie mięknie, czuje widać w nas ludzi interesu.

— To nas nie obchodzi, my będziemy to załatwiali tylko z panem, nie życzymy sobie pośredników.

— Rozumiem, ma być dyskrecja. Odpowiedź dam za trzy godziny.

Minęły. Kierownik salonu czeka z niecierpliwością. Nie ma wprawdzie „Berlinów" ale są lepsze — węgierskie, może być dziesięć. Cena zostaje ta sama. Odbiorniki będą jutro przed 12 na miejscu, tu, w N. Towar trzeba było zorganizować, dostarczyć. Masa fatygi.

Wyjmujemy legitymację prasową.

— Nie potrzebujemy odbiorników...

— Panowie, ja was proszę, ja was bardzo proszę...

Coś niedobrego dzieje się z kierownikiem. Cóż to może być? Chyba strach, zwykły obrzydliwy strach i... zawód. No cóż, może innym razem powiedzie mu się lepiej. A może kierownik już nigdy nie zechce próbować?

*

Pijemy kawę w miejscowej kawiarni. Przy stolikach sporo ludzi, trochę nam się przyglądają. Od drzwi wejściowych wprost do naszego stolika idą: milicjant i jakiś cywil.

— Proszę obywateli o dowody osobiste — mówi milicjant.

— Tu, w lokalu, mamy je panom pokazać? — Mimo wszystko nie jest to mile uczucie. Cała sala patrzy na nas z satysfakcją. Nie wiedzą jeszcze, o co chodzi, ale są zadowoleni, że to spotkało właśnie nas, obcych w tym miasteczku.

Milicjant przyznaje rację: wyjdziemy na ulicę. — A za kawę można zapłacić? — Pyta ten z nas, który zachował więcej zimnej krwi.

— Można — facet w cywilu nie odstępuje jednak przyjaciela. Kelnerce drżą ręce.

Na ulicy widzimy, że numery papierowe wciąż jeszcze wiszą. Psiakość, trzeba było zdjąć!

— O co właściwie chodzi? — pytamy naiwnie.

— To panów samochód?

— Oczywiście.

W komendzie powiatowej MO wyciągamy legitymacje prasowe, dowody. Tłumaczymy, skąd te „propozycje". Pytamy: okazuje się, że meldunek złożył mechanik. Więc jednak — oddychamy z ulgą.

Po chwili wolni. Przed kioskiem z papierosami z cienia wyłania się mechanik. Odwołuje nas na bok. Jest wyraźnie przejęty:

— Panowie, uciekajcie, ja was zdalem na milicji. Musiałem, tu mnie znają. Jeździliśmy razem. Gdyby panowie wpadli, ciągano by i mnie. Ja bardzo przepraszam!

Zrywamy papierowe numery. Rezygnujemy już z tego fingowanego napadu na bank, jaki chcieliśmy tu dla sprawdzenia czujności przechodniów urządzić.

Po co zaraz bank? Po co dziś bank, panowie?

Wiesław Barański
Bogusław Rajchert

WRÓŻBY

(Dokończenie ze str. 10)

ręce. Wybuchnąłem śmiechem. Wtedy dopiero nas poznała:

— Idioci — rzekła — czego mi szarpiecie nerwy, czego...

Przysiadła obok na trawie. Pyzaty zapytał ją, co nowego. Odparła, że stara bieda. Potem zrywała kwiaty i wiła z nich wianki. Patrzyłem na jej zwinne palce. To mnie znużyło. Zamknąłem oczy i otworzyłem je dopiero wtedy, kiedy zaniepokoił mnie jakiś szmer; ktoś szedł po łące.

Pyzaty — powiedziałem, lecz on już sam wiedział, co ma robić. Znów bawił się w zwiadowcę, a ja byłem pewien, że to żołnierze, których lepiej nie spotykać.

— Popatrzcie — mruknął Pyzaty — to Moniek, ta niedojda...

Anka jakby się ucieszyła; wstała z ziemi i zagwizdała.

— Ty go chcesz zwabić? — pytał Pyzaty. — Chcesz, żeby tu przyszedł?

Anka wsadziła do ust palce i ponownie rozległ się przeraźliwy gwizd.

— To jest wariat — mówił Pyzaty — cholerny wariat, nie lubię takich, bo nigdy nie wiadomo, co taki zrobi...

Poczułem się trochę nieswojo; obserwując Mońka, który szedł w naszą stronę, powiedziałem: — Słuchaj, Anka, Pyzaty ma rację, wariat to wariat, niebezpieczny typ, czytałem gdzieś w literaturze, że taki jeden zgwałcił pewnego razu sparaliżowaną staruszkę...

— On nam nic nie zrobi — rzekła Anka — on nas nie skrzywdzi, ja mu dawałam czasami chleb.

I było tak, jak rzekła. Moniek okazał się nieszkodliwy, do Anki przyszedł łasząc się niby pies.

— Nie mam dziś chleba — uśmiechnęła się do niego. — Chcę jednak wiedzieć, jak ci się wiedzie?

Moniek wybałuszył oczy. Potem zamachał rękami. I raptem krzyknął. Dreszcz wstrząsnął moim ciałem, bo głos miał nieprzyjemny, bardzo dziwny, ponury jak kruk.

— Wojna — zaharczał chrapliwie — jedno wojsko tu, a drugie tam, biją się... — wskazał palcem szosę, wyciągniętą dłoń skierował na zachód, następnie zaś na wschód: — Wojna! — krzyknął i w końcu złapał się za głowę: — Boli...

— Te, wariat — rzekł spokojnie Pyzaty — czego się przejmujesz, wojna to wojna, każdy ma jej dość, lecz nie wolno się przejmować, trzeba przetrzymać, ja ostatnio miałem szkorbut i tyfus i biegunkę, bolało nie tak...

Moniek jednak nie słuchał już jego wywodów, biegł przez łąkę wymachując rękami. Staruszek, który pasł kozę, bardzo się wystraszył; koza urwała się z postronka i zaczęła ganiać po łące. Śmieszne to wyglądało; nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, lecz umilkłem od razu, gdy rozległ się huk. Rzuciło nas wtedy na ziemię, a ziemia upodobniła się do wulkanu, trawa leciała do nieba, w mieście dźwięczały szyby, dzwon zaczął bić na alarm, paliły się domy. I znów rozległ się huk, znów pękł nad głowami pocisk i mimo że miałem w ustach pełno czarnej ziemi zgrzytającej między zębami, mimo że trząsłem się ze strachu jak liść osiki na wietrze — zacząłem krzyczeć: — To ten wariat — bełkotałem — Moniek, idiota, on przyniósł ze sobą nieszczęście, on zawsze mnie prześladuje, wtedy rąbnęli wróżkę, a teraz...

Podniosłem głowę rozglądając się po łące. Tam, gdzie przed chwilą siedział staruszek, była wielka dziura i koza tylko została, skacząc jakby ją giez ugryzł, smarowała trawę czerwoną smugą krwi.

— To przez tego wariata! — zawołałem, lecz zmuszony byłem natychmiast zamilknąć, gdyż padła salwa. Strzelali ze wszystkich stron, ze wschodu i od zachodu. Pociski przelatywały nad naszymi głowami jak ptaki. Spojrzałem na Ankę, leżała nieruchomo, oczy miała zamknięte.

— Pyzaty — rzekłem, lecz on nawet nie drgnął. Podszedłem do nich:

— Żyjecie?

— Leż, bałwanie! — wrzasnęli. Upadłem. I nie podnosiłem już głowy, zakopałem się głęboko w trawę, zatkałem palcami uszy, przywarłem całym ciałem do ziemi i niech się dzieje, co chce — myślałem — wola boża...

I byłbym tak leżał bardzo długo, przez cały dzień i całą noc nie podnosiłbym się z ziemi, gdyby nie ten monotonny szum: warkot motorów. Popatrzyłem: czołg sunął wprost na mnie, rył gąsienicami łąkę niby kret, był coraz bliżej i gwiazdę miał wymalowaną, gwiazdę czerwieńszą od krwi; przelękłem się, serce zabiło mi gwałtownie, upadłem z powrotem na trawę i wówczas dopiero dojrzałem tę roślinę: czterolistną koniczynkę; rosła tuż obok mej twarzy. I mimo wielkiego strachu, mimo niepokoju i wojny panującej jeszcze na świecie, zerwałem ten liść chowając go skrzętnie do kieszeni, bo ludzie w naszych stronach powiadają, że taki liść wróży człowiekowi szczęście.

Adam Janusz Bień

Niedobry płaszcz

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

ANALIZA, jakiej poddajemy złożone treści „Smierci gubernatora", wymaga, sądzę, powtórzenia na wstępie pewnych szeroko znanych stwierdzeń. Przede wszystkim więc faktu, że Leon Kruczkowski — wybitny pisarz był zarazem działaczem polityczno-kulturalnym wysokiej rangi. W poszczególnych momentach okresu powojennego ministrem kultury i sztuki, prezesem Związku Literatów Polskich, przewodniczącym Komisji Kultury KC PZPR, członkiem Rady Państwa. I ważny jest przy tym drugi fakt, że między działalnością Kruczkowskiego a jego pisarstwem nigdy nie zachodziła antynomia. Tworzył polityczną literaturę piękną wielkiego formatu, o głębokim podłożu marksistowskim. Autentyczny marksista od młodych lat do ostatnich dni życia, będzie wierny sobie również w twórczości, od „Kordiana i chama" aż do „Smierci gubernatora".

Otóż właśnie te bezsporne prawdy wyjaśniają nam przekonująco, jak się stać mogło, że „Smierć gubernatora", dramat wyrosły z opowiadania Leonida Andrejewa, pisarza całkiem innego pokroju, został uwieńczony konkluzjami konstruktywnymi, aktualnymi w naszym czasie dziejowym.

Sztuki Andrejewa „Sawwa", „Anatema", „Anfisa", „Życie człowieka", opowiadania „Myśl", „Otchłań", „Czerwony śmiech" i wiele innych — cieszyły się ogromną poczytnością wśród rosyjskiej młodzieży inteligenckiej w latach plus minus 1902—1914. Dziś, kiedy jesteśmy świadkami nierzadkich nawrotów na drogi formalne początku stulecia, utwory te, noszące znamiona symbolizmu i ekspresjonizmu, a nawet rzec można preegzystencjalizmu, mogą mieć niemałą siłę atrakcyjną. Wydaje się, że coś z artystycznego klimatu twórczości Andrejewa musiało pociągnąć Leona Kruczkowskiego podczas *sturmu i drangu* naszego „awangardyzmu".

Na kogo innego niż Kruczkowski czyhały tu niebezpieczeństwa — tym bardziej, że dzieła Andrejewa przy swej interesującej fakturze są przepojone żarliwym humanitaryzmem. Mówię tym bardziej, bo jest to humanitaryzm na wskroś pesymistyczny, nie znajdujący wyjścia z tragicznych sytuacji świata.

Leon Kruczkowski poprzedził swój dramat notą następującej treści:

„Sztukę tę, sam jej pomysł, zawdzięczam opowiadaniu Leonida Andrejewa pt. „Gubernator" (1906). Nie jest ona jednak prostą adaptacją sceniczną tego opowiadania, lecz utworem samodzielnym i w całości bardzo różnym od tamtego. Wziąłem od Andrejewa właściwie tylko sytuację „wyjściową" i parę drobnych fragmentów ekspozycji, zamykającej się w pierwszych pięciu scenach aktu I. Wszystko, co następuje potem, zwłaszcza w aktach II i III, rozwija się zupełnie inaczej, a nawet — powiedziałbym — „polemicznie" w stosunku do noweli Andrejewa. Dotyczy to zarówno fabuły, jak i problemu, a także samej postaci głównego bohatera. Wreszcie, w przeciwieństwie do noweli, sztuka moja nie posiada określonej lokalizacji geograficzno-historycznej".

Tyle sam autor „Smierci gubernatora". Nota jest lapidarna, tedy przy ściślejszej analizie dramatu wymaga uzupełnień.

A więc mamy do czynienia z bardzo ciekawym wypadkiem istotnie polemicznego opracowania pierwowzoru pochodzącego od pisarza o zupełnie odmiennej osobowości. Kunszt scenopisarski Leona Kruczkowskiego przejawił się tutaj w tym większej mierze, że treści opowiadania zostały uwzględnione w sztuce w znaczniejszym stopniu, niż się to wydaje krytykom, którzy nie mieli sposobności dotrzeć do egzemplarza „Gubernatora".

Na czym polegała główna trudność? Chyba właśnie na tej identycznej sytuacji „wyjściowej", o której wspomina Kruczkowski. Sytuacją wyjściową była chwila machnięcia białą chusteczką, której wspomnienie powraca na całej rozciągłości dramatu i opowiadania. W tamtej chwili, mówi Andrejew, „47 niespokojnych ludzi zamieniło się w spokojne trupy". Czas jak gdyby się zatrzymał. „Machnięcie chusteczką przesłoniło cały świat". Gubernator miał wrażenie, że zatrzasnęły się za nim żelazne drzwi, odcinając drogę powrotną. I jeszcze jedno świetne określenie: „Wyczuwał on potrzebę dopędzenia kuli, złapania jej rękami". Gubernator Andrejewa i Kruczkowskiego nie jest zwykłym zbrodniarzem (sprawa byłaby za prosta), ale czyn — rozkaz strzelania do bezbronnych ludzi upominających się o chleb i pracę — był zbrodniczy. Człowiek o czujnym sumieniu zdaje sobie sprawę, że musi ponieść karę. Obaj pisarze zgodnie mówią, iż Gubernator ma swoją śmierć „w głowie", „w mózgu".

Stąd ta „perypatetyka" gubernatora, o której pisze w „Dialogu" J. Kelera (nr 12 z 1962 r.), „przechadzka w poszukiwaniu straconego człowieczeństwa". U Andrejewa są już rozmowy z ogrodnikiem i wstąpienie do szynku i codzienne spacery po mieście, nawet po ubogich dzielnicach, i systematyczne czytanie anonimów, z nieodstępnej chęci dowiedzenia się, „co ludzie myślą". I ten list gimnazjalistki, który przyniósł odrobinę ulgi.

Wszystkie bogactwa noweli, łącznie z występującymi w niej postaciami, musiały być wykorzystane, skoro się ją tknęło. Ale trudność (bo pora ją sprecyzować) sprawiała może właśnie zbyt rozlewna analiza stanu psychicznego Gubernatora, na jaką mógł sobie pozwolić autor opowiadania. W daleko posuniętych finezjach psychologicznych czytelnik gubił nurtującą Andrejewa myśl o moralnych granicach władzy. Gubernator swoją samotnością, swoim wyobcowaniem, wreszcie rzeczywistą śmiercią na skutek zamachu — wzbudzał raczej litość. Pesymistyczny humanizm Andrejewa sugerował wniosek, że zbrodnia jest nieuniknionym atrybutem władzy.

Potępienie przez Kruczkowskiego biernej postawy społecznej zabarwionej letnim liberalizmem wystąpiło wymownie już w „Niemcach". Toteż widzimy, że idzie on w „Smierci gubernatora" za opowiadaniem Andrejewa nie do końca, w ostatniej scenie aktu II drogi pisarzy się rozchodzą. Scena więzienna ma zasadnicze znaczenie ideologiczne. Ciekawą jest rzeczą, że pewne elementy do jej dialogu można już znaleźć w jednym z anonimów zacytowanych w „Gubernatorze". List pochodzi od rewolucjonisty, który rozumiał, że zło tkwi nie w postępowaniu poszczególnych przedstawicieli władzy, tylko w wadliwym ustroju. I warto przytoczyć przy okazji pewien *passus*, wiążący się niejako z „krokiem gubernatorskim", który pogrążał Andrejewa w beznadziejnym pesymizmie, Kruczkowskiego zaś skłaniał do przemyślanych ostrzeżeń. Czytamy m. in. w owym anonimie: „Kiedy robotnicy nawet jakby odniosą zwycięstwo, wszelcy szubrawcy będą tylko udawać pognębionych, i natychmiast wymyślą jakieś szachrajstwo, by wystrychnąć swych zwycięzców na dudka". Ale Kruczkowski znakomicie rozegrał symboliczne przekazanie gubernatorskiego płaszcza. W tym momencie widz zdecydowanie przestaje litować się nad Gubernatorem. Jego teoryjka o nieuchronnej konieczności zbrodni w „strasznych wnętrzach władzy" bankrutuje. Staje się rzeczą jasną, że wolność i sprawiedliwość muszą zginąć pod gubernatorskim płaszczem, żyją natomiast, skoro go się zrzuci.

Akt III, zupełnie niezależny od pierwowzoru, prezentuje kłopotliwą sytuację Gubernatora, który już utracił władzę. Różne tu można snuć domysły, ale w gruncie rzeczy sprawę zamknęła plastyczna symbolika oddania gubernatorskiego płaszcza w finale aktu II...

Przejdźmy tedy do realizacji. Wydaje mi się, iż utalentowany i sumienny reżyser **Stanisław Milski** uczynił wszystko, żeby zrobić nobliwy i zajmujący spektakl. Największy ambaras miał prawdopodobnie z Narratorem. Jego opisy i wywody, przydługie nawet po reżyserskich „określeniach", nie tylko rozbijają akcję, ale wręcz nadają poszczególnym scenom charakter ilustracyjny. Współczuję **Witoldowi Zarychcie**, który musiał poświęcić temu gadule dużo energi godnej lepszej sprawy. Z poszczególnych scen najbardziej stylowo została ułożona chyba scena rodzinna w salonie III aktu. W niej na specjalną uwagę zasługuje postać Anny Marii w wykonaniu **Wandy Węsław**. Natomiast scena salonowa aktu I (z Narratorem snującym się wśród gości niczym Nieznajomy w „Maskaradzie" Lermontowa) wydała mi się raczej chaotyczna, jak również nieco zamazana jest scena w szynku, gdzie postacie (może dla kontrastu ze sceną salonową?) są ustawione przeważnie tyłem do widowni. Bardziej przejmująca mogłaby też być scena w więzieniu, gdyby Więzień **(Leopold Matuszczak)** miał sposobność przejawić większą pasję dyskusyjną. Poprawnie wypadł ogrodnik Łukasz **(Janusz Cywiński)**, Grabarz **(Zygmunt Fok)** i prowokator **(Andrzej Chmielarczyk)**, mniej ciekawie zaprezentował tym razem przydzieloną mu postać Manuela **Zbigniew Czeski**, o którym często mamy okazję powiedzieć wiele dobrego jako o aktorze i reżyserze. **Andrzej Gazdeczka**, na ogół nie mniej ceniony, stanowczo nie ma powołania do stanu duchownego: jego O. Anastazy niezbyt skutecznie nadrabiał powagę miną. Z prawdziwą za to przyjemnością wymieniam dwa bardzo prawdziwe epizody: Joasię **(Elżbieta Gaertner)** i Dozorcę więziennego **(Jerzy Felczyński)**.

Cała uwaga widza siłą rzeczy koncentruje się na głównej postaci utworu, na Gubernatorze, będącym personifikacją tragizmu władzy. Zgodnie z założeniem Leona Kruczkowskiego, że dramat jego nie posiada określonej lokalizacji geograficzno-historycznej, postać jest nieco „wyabstrahowana". Wydaje mi się, iż **Marek Idziński** gra rolę według życzenia autora, unikając sentymentalizmu, który by odciągał uwagę widza od problemu. Jednakże nie zawadziłoby może trochę większe różnicowanie tonu. Pozostali członkowie zespołu występują albo w postaciach słabiej zarysowanych przez autora: **Halina Kazimierzowska** (Zuzanna), **Jolanta Bohdal** (Elza), **Tytus Wilski** (Prefekt policji), **Jerzy Smyk** (Prokurator), **Ludwik Paczyński** (Adiutant) — albo ofiarnie statystują: **Zofia Stefańska, Wiesława Grochowska, Zyta Polomska, Stanisław Maleszewski.** Zresztą i kilku wyżej wymienionych nie zwolniono ze statystowania. Oczywiście podnosi to walor spektaklu, kiedy na scenie są sami aktorzy z warsztatem.

Dekoracja **Bożeny Karolak** (wizja południków, równoleżników i kontynentów) jest fascynująca, kostiumy męskie mniej (jedną z ich ofiar stał się Czeski).

Mimo pewnego niedosytu tu i ówdzie, cieszymy się, że pokazano nam sztukę, nad którą warto pomyśleć. Panu Milskiemu należy się podziękowanie za niemały trud włożony w jej realizację.

„Smierć gubernatora"

Nigdy więcej!

NIEWIELE dni temu ukazała się w prasie pogłoska, że Martin Bormann żyje. Martin Bormann, o którym już nieraz mówiono, jakoby stworzył gdzieś na odludziu argentyńskim obóz czcicieli Hitlera, stał się czymś w rodzaju baśniowego wampira, myśl o tym pogrobowcu hitleryzmu nęka świat jeszcze długie lata po wojnie. Nie tylko dlatego, że jednostkowy los nieukaranego szefa kancelarii hitlerowskiej symbolizuje poniekąd bezkarność całej rzeszy innych zbrodniarzy, ale dlatego zwłaszcza, że najzupełniej realni Bormanni, dekujący się tuż pod bokiem, nie za oceanem, wywierają zdecydowany wpływ na politykę jednego z państw niemieckich.

Świadkowie ich dawnych zbrodni zdają sobie w pełni sprawę z nowych niebezpieczeństw. Lecz w chwili obecnej, w roku 1965, są na świecie miliony młodych ludzi pełnoletnich od niedawna i miliony nastolatków, — dla nich obraz okupacji tchnie trochę podręcznikiem, trochę legendą koloryzowaną przez „starych". A muszą przecież wiedzieć żywą prawdę o tym ponurym okresie dziejowym, muszą wiedzieć, że ci, którzy mogli ulec psychozie kształtowania „niemieckiego świata" kosztem zagłady innych narodów, nie uznają żadnych hamulców moralnych, gdy opanuje ich *mania grandiosa*. Wiedza o tym jest niezbędna do świadomego włączenia się w społeczne przeciwdziałanie złu.

Toteż pierwszą inicjatywę „Sceny Inicjatyw" Teatru im. J. Osterwy, adaptację stenogramu słynnego procesu członków hitlerowskiej załogi Majdanka, należy uznać za bardzo celową.

Proces, na tle którego powstała obecna inscenizacja, odbywał się w dniach 27 listopada — 2 grudnia 1944 r., kiedy większa część obszaru Polski znajdowała się jeszcze pod okupacją niemiecką i toczyły się jeszcze krwawe walki o całkowite wyzwolenie. Na razie z załogi majdankowskiej, liczącej ponad 1200 zbirów, zaledwie sześciu stanęło przed Sądem Specjalnym pod zarzutem popełniania masowych i indywidualnych morderstw, rabunku i znęcania się nad więźniami obozu, gdzie zginęło ponad półtora miliona ludzi. Proces toczył się w Lublinie, którego Majdanek był przecież przedmieściem, a więc „nic dziwnego" — pisał potem prokurator dr J. Sawicki — „że odbywał się w atmosferze niezwykle napiętej, bo niemal każdy widz na sali sądowej miał kogoś bliskiego w obozie i opłakiwał jego zgon".

Jest rzeczą jasną, iż atmosfera sali teatralnej nie może być dziś adekwatna nastrojom owych tragicznych dni, lecz taka jest siła liczb i faktów, których dostarczyła adaptatorom dokumentacja procesu, że widownia roku 1965 wysłucha montażu w głębokim skupieniu.

Tak właśnie, jak trzeba. Bo dla przestrogi bardziej funkcjonalna jest rozwaga niż emocja, a zasadnicza funkcja inscenizacji „Nigdy więcej" polega przecie na podtrzymaniu, czujności — świadczy o tym choćby sam tytuł i Fuczikowe motto w programie.

Oceniając fakturę zrealizowanej adaptacji trzeba szczególnie pochwalić jej nobliwą prostotę. Autorzy wykazali dużo taktu artystycznego unikając sztucznej „teatralności" i literackiego zdobnictwa. Ich opracowanie jest nieco statyczne jak na widowisko, ale wymowa autentyku, której zaufali, robi swoje. Powiem więcej: umiar sceniczny był tak dalece kategorycznym nakazem podawanej dokumentacji, że właściwie najistotniejszy zarzut, jaki można by zrobić przy danej koncepcji, dotyczyłby łączenia tekstów faktograficznych fragmentami mowy oskarżyciela. Autentyczna również, znakomita na fali patosu momentu tragicznego, dzisiaj brzmi ta mowa w zestawieniu z innymi partiami adaptacji zbyt literacko. Kto wie, może byłoby lepiej w takim razie włożyć w usta Człowieka wiersze z czasów powojennych, nadałoby to dialogowi autentycznemu artystyczny walor retrospekcji. Albo zastąpić postać Człowieka w pasiaku kilkoma postaciami więźniów i więźniarek i niechby każda opowiedziała na proscenium, słowami listów i wierszy obozowych, o swoich osobistych doznaniach w obozie. Na pewno doszedłby do głosu czynnik bardzo emocjonalny.

Natomiast na znacznie dalszym planie należałoby umieścić grupę oskarżonych. Wprawdzie jest „sensacyjna", a nasi aktorzy (LUDWIK PACZYŃSKI, MARIAN DROZDOWSKI, TADEUSZ BOURDO, STANISŁAW MALESZEWSKI, STANISŁAW STOJKO, WITOLD LISOWSKI) znakomicie zróżnicowali postawy: od bezczelnej, cynicznej buty do tchórzliwej pokory, i wprawdzie jesteśmy głęboko przekonani, że przebaczenie bezprzykładnego bestialstwa zbrodniarzy hitlerowskich przerastałoby miarę największej wielkoduszności ludzkiej, jednakże dziś, po przeszło dwudziestu latach, może widok ich ostatecznej, przedśmiertnej sytuacji wzbudzić w kimś obok pogardy — niewłaściwą litość. Trzeba się liczyć z takimi zaskoczeniami.

Tak, stanowczo trzeba było więcej uaktywnić Świadków (**Witold Zarychta, Zbigniew Czeski, Andrzej Gazdeczka, Zyta Polomska**), a także Przewodniczącego Sądu (**Andrzej Chmielarczyk**). Dać im takie możliwości artystyczne, jak Obrońcy (**Zbigniew Sztejman**) i Prokuratorowi (**Jerzy Felczyński**), którzy mieli świetne momenty.

Niezależnie od tych krytycznych uwag powtarzam, że inicjatywa autorów i realizatorów widowiska zasługuje ze wszech miar na uznanie społeczeństwa.

*

„Nigdy więcej" adaptacja sceniczna oparta na stenogramie pierwszego procesu członków załogi Majdanka. Opracowanie adaptacji: Andrzej Gazdeczka, Marek A. Jaworski, Jerzy Smyk, Jerzy Torończyk. Inscenizacja i reżyseria — Andrzej Gazdeczka, Scenografia — Jerzy Torończyk.

„Nigdy więcej"

Odpowiedzi Redakcji

K. Z. w Warszawie. Z zainteresowaniem przeczytaliśmy Pana wiersze. Postaramy się coś wybrać.

„Sęk" w Lublinie. „Ostrożnie — twórczość własna" — ostrzega Pan na kopercie pracowników poczty. My też ostrożnie ustosunkowujemy się do Pana utworów. Fragmenty niezłe, ale w całości jeszcze nie do druku.

T. R. w Warszawie. „Do Ciebie" nawet mile, ale to jeszcze za mało na publikację.

K. S. w Otwocku. Dziękujemy. Postaramy się wybrać ze dwie fraszki i może wydrukujemy „Fragment z dziennika".

J. M. w Leszne. Z opowiadania nie skorzystamy. To temat zbyt trudny dla kogoś, kto dopiero zaczyna pisać.

Z. S. we Wrocławiu. Spośród Pana wierszy najbardziej nam się podoba „A może zakotwiczone...", ale nie zamieścimy go ze względów, które Pan zapewne rozumie (Lublin...). Prosilibyśmy o większy wybór.

E. K. w Lublinie. Bardzo nam przykro, ale i dwa ostatnie Pani wiersze nie nadają się jeszcze do druku. Ale nie musi Pani aż „zdobywać się na odwagę", aby przyjść do redakcji.

M. S. w Nowym Lesie. Pisze Pan w jednym z utworów (?): „Nie mówi się to, co się myśli, lecz to, co się już przemyślało". Po lekturze Pana wierszy zmieniliśmy drugie słowo: „pisze" zamiast „mówi".

B. W. w Gdyni. Zatrzymujemy dwie fraszki („Dotyczy zarozumiałych" i „Konsument ma rację"). Dziękujemy za pamięć.

„Teatroman" w Białymstoku. Po pierwsze — anonim. Po drugie — kopia maszynopisu. Po trzecie — przecież z białostockiej rozgłośni PR! Ale przeczytaliśmy. W przyszłym roku „Kamena" będzie zamieszczać własne recenzje z ciekawszych spektakli teatru białostockiego.

R. K. w Ełku. Prawdopodobnie coś wybierzemy.

B. D. w Ogrodniczkach. Dziękujemy za miłe słowa. W Pana utworach, niestety, zbyt mało poezji. Musi Pan solidnie pracować nad formą. W każdym bądź razie na debiut jeszcze za wcześnie.

C. P. w Kielcach. Nie skorzystamy, ale niech to Pana nie zniechęca. Niektóre skojarzenia interesujące.

„Wołacz" z woj. rzeszowskiego. „Mój wysiłek" chyba nie był zbyt wielki. Wierszyk słabiutki, pozostałe również. Niech Pan przeczyta w druku chociażby taki fragmencik: „Ty nie chcesz kochana myśleć o mojej miłości Więcej Ci sprawia radości tęten (?) konkretyzmu (?) chwili". Podoba się to Panu? A „Cmentarne refleksje" nie są nawet powtórzeniem innych utworów na ten temat. Bardzo mało ma Pan do powiedzenia. I prosimy nie wysyłać każdego wiersza w osobnej kopercie.

T. S. w Janowie. Tym razem nie skorzystamy.

W. K. w Białymstoku. Jeden z wierszy wydrukujemy. „Kamena" będzie nadal — używając Pana terminologii — w tym wypadku „lekkomyślna".

* * *

UWAGA: Prosimy autorów nadsyłających wiersze, opowiadania czy artykuły o podpisywanie się pełnym imieniem i nazwiskiem pod każdym utworem oraz podawanie miejsca zamieszkania.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ Na zebraniu działaczy kultury w dniu 29 listopada powołano do życia Białostockie Towarzystwo Kultury. Jego głównym celem jest społeczna aktywizacja środowisk twórczych, organizacji regionalnych i społeczno-kulturalnych. Prezesem 45-osobowej Rady został sekretarz KW PZPR, Witold Mikulski, przewodniczącą zarządu, Krystyna Marszałek.

◆ Jedyne w województwie muzeum rolnictwa w Ciechanowcu nie tylko powstało, ale i nadal prowadzone jest całkowicie społecznie. Aby jednak zwiększyć liczbę eksponatów i lepiej je konserwować, zwrócono się do gminnych spółdzielni. Z Bielska Podlaskiego, Bociek, Białegostoku, Orli i Wyszkowa nadesłano po 186—200 zł. Wymowne.

◆ Przy 9 PDK i 9 bibliotekach powiatowych lub miejskich istnieją punkty poradnictwa dla placówek kulturalno-oświatowych i zespołów amatorskich. Są lokale, sprzęt, i różne pomoce, ale nie wszędzie ma kto prowadzić te poradnie.

◆ Augustów jutro — to cyki interesujących i cieszących się dużą popularnością prelekcji, wygłaszanych systematycznie w augustowskim Domu Nauczyciela.

◆ Eksperymentalne Studio 61 przy teatrze białostockim przygotowuje drugą premierę — „Sonatę Beltzebuba" Witkiewicza.

◆ 40 osób wzięło udział w dwutygodniowym kursie dla kierowników świetlic PGR. W poprzednich latach głównym nacisk kładziono na formy pracy artystycznej, w bieżącym — na zagadnienia oświatowe.

KIELCE

◆ Budowa ośrodka telewizyjnego na Świętym Krzyżu bardzo interesuje wszystkich mieszkańców Kielecczyzny — posiadaczy szklanych ekranów. Roboty, wolno wprawdzie, posuwają się jednak naprzód. Uruchomienie pierwszego nadajnika spodziewane jest za kilka miesięcy. To będzie duże wydarzenie. Polepszy się znacznie odbiór programu TV i będzie można zlikwidować wreszcie anteny na dachach. Wystarczą pokojowe.

◆ W ślad za Świętokrzyskimi Dniami Kultury odbywały się w Kielcach Świętokrzyskie Dni Muzyki. Wystąpiły w nich m. in. Państwowa Filharmonia z Lublina, wprowadzona przez p. Adama Natanka, absolwenta krakowskiej PWSM. Jako solista zaprezentował się kieleckim miłośnikom muzyki tenor — Kazimierz Myrlak.

◆ W listopadzie Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach obchodził 20-lecie swego powojennego istnienia. Jubileusz ten zbiegł się z 250-leciem istnienia Sceny Narodowej. Z tej okazji — I sekretarz KW PZPR Franciszek Wachowicz i przewodniczący Prez. Wojewódzkiej Rady Narodowej inż. Antoni Mierzwiński, przesłali do dyrekcji i zespołu kieleckiego Teatru list gratulacyjny.

◆ Kielecki Wojewódzki Dom Kultury przygotowuje się do XII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, który odbędzie się w 1968 roku. Tym razem — propagowanie konkursu na terenie Kielc. W związku z tym Klub „Wiedza" przy WDK organizuje w grudniu pokazową imprezę, w której udział wezmą aktorzy Teatru im. Żeromskiego oraz laureaci dotychczasowych konkursów recytatorskich z terenu województwa.

LUBLIN

◆ W dniach 8—9 grudnia odbyła się w Lublinie ogólnopolska narada przedstawicieli wojewódzkich domów kultury. Chodziło o wprowadzenie jednolitej dokumentacji działalności placówek kulturalno-oświatowych.

◆ W nowym ratuszu w Biłgoraju zostanie otworzone w styczniu muzeum regionalne z działami: archeologicznym, historycznym, etnograficznym i dokumentacji współczesności.

◆ Oto krótki bilans 11-letniej działalności lubelskiego klubu MPiK: 2 mln osób w czytelni, dysponującej 300 tytułami pism z całego świata, 1.160 wystaw, 680 różnych imprez.

◆ Na ul. Lubelskiej, głównej arterii Chełma, zawaliło się kilkanaście metrów chodnika. Raz jeszcze okazało się, że labirynt lochów grozi coraz bardziej, zwłaszcza starej, zabytkowej części miasta. Sprawę badają specjaliści z Krakowa.

◆ Przy Biurze Wystaw Artystycznych w Lublinie powstał Uniwersytet Sztuki, gdzie w ciągu 2-letniego cyklu nauki będą omawiane wybrane zagadnienia z historii sztuki. Najtaniej już ponad 250 słuchaczy.

RZESZÓW

◆ W przebudowanej synagodze z XVII w. otwarty został w Rzeszowie Dom Piastyka, zawierający m. in. 11 pracowni i 2 duże sale wystawowe. Inauguracyjną imprezą było otwarcie ogólnopolskiej wystawy malarstwa „Jesienne konfrontacje".

◆ PDK w Przemyślu zorganizował 2-letnie studium kulturalno-oświatowe dla studentów miejscowego Studium Nauczycielskiego. Chodzi o przygotowanie młodych nauczycieli do pracy kulturalno-oświatowej na wsi.

◆ PDK w Nisku otrzymał bezpłatnie od Teatru im. Siemaszkowej dużą ilość kostiumów, obuwia i rekwizytów — z obowiązkiem wypożyczania ich zespołom amatorskim w powiecie. Piękny gest.

◆ Literat radziecki, Arkadij Wasiliew z Moskwy, osobiście zbierał w okolicach Przemyśla i Leska materiały, związane z walkami radziecko-niemieckimi w tych okolicach w 1941 r. Kto ma coś ciekawego, jest proszony o skontaktowanie się z referatem historii partii KW PZPR.

◆ Zdzisław Postępski z Rzeszowa jako jeden z 8 polskich fotografików otrzymał ostatnio tytuł Artysty Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej (FIAP).

◆ Dom Kultury huty Stalowa Wola urządził w świetlicach hal produkcyjnych trzecią z kolei wystawę reprodukcji malarstwa światowego — tym razem rosyjskiego i radzieckiego.

◆ Związki zawodowe mają w województwie, jak podano na plenum WKZZ, 13 zakładowych domów kultury, 27 klubów, 50 kin, 154 bibliotek, 276 świetlic, 158 zespołów artystycznych.

NOTY

BARDZO LUBIMY „bogato zdobiony organ Mirosława Malcharka — „Wykrzykniki" we „Współczesności", zwłaszcza, że red. naczelny tegoż organu jest pilnym czytelnikiem „Kameny". Niestety, od czasu do czasu zawodzi go pamięć i pewne uwagi „Kameny" traktuje jak własne. Pisaliśmy np. o dziwnej tablicze na budynku Klubu Dziennikarza w Kielcach. Po pewnym czasie temat ten podchwyciły „Wykrzykniki". Zamieściliśmy recenzję z książki I. M. Bartelskiego pt. „Luna", wytykając autorowi kilka błędów (chodziło głównie o stopnie oficerskie w armii czarskiej). W „Wykrzyknikach" z pierwszej połowy grudnia nie bez zdziwienia zauważyliśmy, że p. Mirosław spostrzegł te same potknięcia. „Wykrzykniki" propagują hasło: „Nie dłub w nosie". A może zaproponujemy inne? Np.: „Pamiętaj o źródle".

„TRYBUNA LUDU" przychodzi do Lublina antydatowana (po małych uaktualnieniach). Kraków, aczkolwiek leży dalej od Warszawy niż Lublin, ma wydanie znacznie świeższe. Chyba aktualność jest najlepszą formą zwiększenia liczby czytelników organu KC. Nawet po południu chętnie widzielibyśmy w kioskach „Ruchu" w Lublinie dzisiejszy numer „Trybuny".

OJ RADI RADI, RADIO! Nie wiem, kto z pedagogów wprowadził do polszczyzny okropny wyraz wiodące (szkoły) zamiast przodujące czy wzorowe. (Chyba to jednak nie był polonista?) Ale ten rusycyzm („wieduszczij") zaczyna straszyć i w radio. W audycji „Muzyka i aktualności" z dnia 1 grudnia br. spikerka mówiąc o bucikach damskich (czy sukienkach?) użyła efektownego zwrotu: „W tym sezonie takie to i takie barwy to „kolory wiodące". Maluczko, a usłyszymy, że wśród owadów zagrażających zdrowiu ludzkiemu, wszy i muchy to insekty wiodące...

RESTAURACJE SZCZECIŃSKIE — jak informuje „Kurier Szczeciński" — znacznie ustrakcyjniają posiłki. Poszczególne zakłady będą się specjalizować, wprowadzając nowe gatunki potraw.

W lubelskiej gastronomii żadnych innowacji. Nawet „Europa" spoczęła na laurach. A podobno mamy tak znakomitych kucharzy...

MAJ

SPROSTOWANIE

Do Redakcji „Kameny"

W n-rze 21—22 „Kameny" na str. 18 do przedruku moich dawnych not wkradł się złośliwy błąd drukarski.

W nocie trzeciej, zaczynającej się od słów: APEL „KAMENY" zamiast „nie ma numeru, w którym nie znaleziony się kilka wołających o pomstę błędów" powinno być po przecinku: „kilku" i tak jest w n-rze 4 z 1947 r., skąd wyjęto tę notę. Taki błąd w uwadze, wystepującej przeciw błędom językowym, rzeczywiście „woła o pomstę". Prostuję więc to, uprzedzając ewentualne dowcipy „żywocików" i „Wykrzykników".

— kaj —

Kłopoty zamorskiej Szwajcarii

(Dokończenie ze str. 8)

Krwawe boje z najeźdźcami wybuchły, jak wspomnieliśmy, niemal natychmiast po uzyskaniu niepodległości. Ani Brazylia, ani Argentyna nie mogły przez długi czas pogodzić się z istnieniem tego małego, niezależnego państwa. Skoro jest małe — to śmieszne, żeby cieszyło się niezależnością. Zwłaszcza Argentyna — jakkolwiek olbrzymia i wówczas niezagospodarowana — nie mogła strawić, że urugwajski skrawek pampy „marnuje się" pod rządami nieargentyńskich właścicieli. W 1829 roku argentyński dyktator Rosas upomniał się za „skrzywdzonym" byłym prezydentem Urugwaju i siły te wkroczyły do jego obronie zaatakował Montevideo. Zdawało się, kolosalny sąsiad zgniecie Urugwaj, jak niedźwiedź królika. Ale los sprzyjał Argentynie niespodziankę. Urugwajczycy walczyli bohaterśko, nie załamała ich dziewięcioletnia blokada Montevideo — walczyli tak długo, aż... nadeszła pomoc z Europy. Anglia i Francja wtrąciły się do wojny. Nie chodziło im, oczywiście, o wolność Urugwaju, lecz o wolność swego własnego handlu; ujścia La Platy było bowiem zamknięte przez wojska argentyńskie i okręty kupieckie z Europy nie mogły się dostać do wnętrza kontynentu. Anglicy obległi Buenos Aires i wymusili otwarcie żeglugi na La Platce. Na koniec i Brazylia skorzystała z okazji, żeby dać Argentynie przyczka w nos: przeprowadziła swoje wojska przez Urugwaj i zaatakowała Rosasa. W decydującej bitwie pod Monte Caseros dyktator Rosas został pokonany i zmuszony do rezygnacji ze swoich apetytów wobec Urugwaju. Tak to czasem małe nawet państwo, na pozór bezbronne, zdoła obronna ręką wyjść z ciężkiej opresji. Cóż robić jednaki niedługo po tym, w 1865 roku przyszła następna wojna, tym razem z Paragwajem...

Dziś armia urugwajska jest niewielka i służy raczej do dekoracji. Nie ma obowiązku służby wojskowej. Kilka tysięcy ludzi służy ochotniczo w formacjach tak „historycznych", jak kawaleria i artyleria konna, lotnictwo posiada tylko trzy eskadry samolotów, a marynarka wojenna — jeden przestarzały krążownik i parę kanonierek. Najlepszą obroną Urugwaju jest jego neutralność; kraj ten zyskał sobie miano „południowoamerykańskiej Szwajcarii" nie tylko ze względu na swoje turystyczne tereny i mimo wszystko postępowe ustawodawstwo, lecz głównie dlatego, że nie miesza się w spory swego kontynentu, przeciwnie, godzi poważnionych, udziela schronienia uchodźcom politycznym z innych krajów nie wnikając w ich przekonania.

Mirosław Azembski

Zagubieni w atomach

(Dokończenie ze str. 3)

uczynić z informatora gwiazdę pierwszej wielkości.

Sprawa nie jest jednak tak prosta, jakby to wynikało z dokonanego podziału. W każdej z wymienionych grup działają jeszcze dodatkowe mechanizmy utrudniające popularyzatorowi wiedzy zebranie rzeczowego, obiektywnego i możliwie pełnego materiału.

Pierwszy z nich to walka konkurencyjna toczące się często między samodzielnymi pracownikami nauki z niebywałą zaciętością. Publikacja popularnonaukowa oparta na osiągnięciach konkretnej katedry lub kierującego nią profesora, bywa wówczas kijem w mrowisku. Powszechnie znany jest klasyczny przykład światowej sławy lubelskiego profesora, na którego istną burzę sprowadziły reportaże o jego wielkich osiągnięciach. Równie czcigodni, co zawistni koledzy owego profesora sięgnęli do arsenału środków nie zawsze akceptowanych przez ogólnie przyjęte w stosunkach międzyludzkich normy. Doskonale znam skutki owej nagonki — uzyskanie jakiegokolwiek materiału od wspomnianego profesora stało się niemożliwością. Grzecznie, z uśmiechem, ale stanowczo odmawia udzielania jakichkolwiek informacji. Ma dość kłopotów...

Druga potężna kłoda, której często nie udaje się forsować, to stosunek feudalnej zależności współpracowników od swego szefa, zależności, która skutecznie i absolutnie zamyka im usta. Chciałbym być dobrze zrozumiany — jestem, oczywiście, przeciw publicznym wystąpieniom adiunktów w sprawach polityki katedry czy zakładu, za którą odpowiada profesor i tylko on może ją referować. Ale dalibóg nie mogę pojąć, dlaczego niższy stopniem naukowiec nie może wystąpić w sprawach ogólnych, dotyczących swej specjalności, ale nie mających bezpośredniego związku z pracami katedry. A jednak znam wypadki, kiedy podobne wystąpienia kończyły się tragicznie.

Podobny stan rzeczy ogranicza krąg informatorów dziennikarza-popularyzatora do nielicznych kierowników katedr czy zakładów naukowych. Sprawy, które często można załatwić na szczeblu magistra, winduje się bez potrzeby do profesorskiego gabinetu, gdzie zaczynają się problemy typu: „dlaczego", „w jakim celu", „nie uważam za konieczne" i tak dalej. Zresztą podobne obiekcje dotyczą z reguły proponowanej przez dziennikarza formy przyszłej popularnonaukowej publikacji. Profesor widzi ją najczęściej przez pryzmat swych naukowych prac, specyficznego języka i suchych sformułowań. Trzeba często wielu wysiłków, aby przekonać o innych potrzebach i upodobaniach szerokiego odborcy, aby uzyskać akceptację żywej i atrakcyjnej formy przygotowywanej publikacji.

Wreszcie sprawa chyba najwięcej wagi — co właściwie popularyzować? Pytanie, na które dotychczas nie ma jednoznacznej odpowiedz i nie sądzę, aby ona kiedykolwiek padła.

W Polsce nie było szerszych badań opinii publicznej w tym zakresie i nie znamy właściwie zapotrzebowania odbiorców. Pewne domysły można snuć na podstawie listów do redakcji gazet i radia, nie dają one jednak pełnego obrazu aktualnego zapotrzebowania. Oczywiście — szeroka działalność informacyjna w zakresie najnowszych zdobyczy nauki. Wyjaśnianie i komentowanie tych osiągnięć, rejestracja faktów, segregowanie pojęć, wprowadzanie pewnego porządku do lawiny doniesień ze świata nauki. Ale czy to wszystko?

Sądzę, że najważniejszą społecznie dziedziną popularyzacji wcale nie jest pisanie o najnowszych „szlagierach" nauki. Jakie znaczenie ma w końcu dla przeciętnego czytelnika fakt odkrycia jeszcze jednej cząstki elementarnej w jądrze atomu? Ciekawostka, zgoda, ale nic poza tym.

A tymczasem w społeczeństwie panoszą się niesłychane opinie na temat na przykład medycyny, „babki" przerywają ciążę szprychami od roweru, rozpowszechnia się mętne i szkodliwe poglądy na temat fizjologii naszego ustroju. Słowem — w mroku pogrążone są jeszcze częstokroć te dziedziny wiedzy, w których od dziesiątek lat wszystko wiadomo.

Jesteśmy kolosalnie zapóźnieni w popularyzacji wiedzy i luki te przede wszystkim powinna wypełnić współczesna popularyzacja. Nie imajmy się jądra atomowego, skoro ogromna masa ludzi nie wie jeszcze, jak korzystać z najprostszych technicznych urządzeń, jak zdyskontować to, co już wiadomo, a co może się przydać w praktyce. Ale dopiero potem przyjemność — ciekawostki, najnowsze doniesienia, zagłębianie się w szczegóły i niuanse.

To miał chyba na myśli Bertrand Russel i to musi być zrobione, jeśli ludzkość nie ma się wyniszczyć swymi połowicznymi umiejętnościami.

Andrzej Malinowski

Artykuł Andrzeja Malinowskiego, laureata nagrody B. Winawera za popularyzację nauki redakcja traktuje jako dyskusyjny. Serdecznie zapraszamy naukowców do zabrania głosu na ten temat. Czekamy na listy. (Red.)

Książki nadesłane

„PIW"

Józef Morton — Mój drugi ożenek, powieść, Warszawa 1965 r. wydanie III;

Gregori Markow — Mężczyźni, przełożyła Jadwiga Nurkiewicz, Warszawa, 1965. Wydanie I;

Adolf Rudnicki — Weiss wpada do morza, Niebieskie Kartki, Warszawa 1965 r. Wydanie I;

Miron Białoszewski — Było i było, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Hean de la Bruyere — Charaktery, czyli obyczaje naszych czasów, przełożyła Anna Tatarkiewicz, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Włodzimierz Majakowski — Liryka, opracowali i wstępem opatrzyli Seweryn Pollak i Anatol Stern, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Cyprian Norwid — Białe kwiaty, wydał z pierwodruku i autografów oraz wstępem poprzedził Juliusz W. Gomulicki, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Julian Przyboś — Czytając Mickiewicza, Warszawa 1965 r. wydanie III powiększone;

Marin Preda — Marnotrawcy, przełożyła Janina Wrzosowa, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Juhan Smuul — Morze japońskie — grudzień, przełożyła Irena Piotrowska, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Thakazhi S. Pillai — Prawo morza, przełożyła Zofia Szoczyńska, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Nguyen Cong Hoan — Droga bez wyjścia, przełożyła Katarzyna Witwicka, Warszawa, 1965 r. wydanie I;

Henri Fluchere — Szekspir dramaturg Elżbietański, przełożyła Violetta Komorowska, opracował Julian Bogoziński, Warszawa 1965 r., wydanie I;

Michele Barbi — Dante, przełożyła Jadwiga Gałuszka, notę wstępną napisał Mieczysław Brahmer, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Pierre Moinot — Piasek żyje, przełożyła Hanna Oledzka, Warszawa 1965 r. wydanie I (Biblioteka KIK);

Witold Wirpsza — Gra znaczeń, szkice literackie, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Bolesław Prus — Kroniki — tom piętnasty, opracował Zygmunt Szweykowski, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Arnold Słucki — Faktura światła, wybór wierszy (1944—1964), Warszawa 1965 r. wydanie I;

Leonid Pierwomajski — Gorzki miód, ballada współczesna, przełożył Adam Galis, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Roger Garaudy — Droga Aragona, (Od nadrealizmu do świata rzeczywistego), przełożyła Irena Wachlowska, wiersze przełożył Roman Kołoniecki, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Marian Grześczak — Gęste światło, wiersze dalmatyńskie, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Jan Nagrabiecki — Gasnące linie — wiersze, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Maria Konopnicka — Wiersze wybrane, wybrała i wstępem opatrzyła Anna Kamieńska, Warszawa, 1965 r. wydanie pierwsze;

Lao Sze — W cieniu świątyni wielkiego miłosierdzia, przełożyła z chińskiego i posłowiem opatrzyła Teresa Lechowska, Warszawa 1965 r. wydanie I;

France Preseren — Poezje, Wybór, opracowanie i przypisy Marian Plechal, wstęp Bozidar Borko, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Romain Rolland — Świadek epoki, Dziennik, publicystyka, krytyka, korespondencja, Wybór i wstęp Macieja Żurowskiego, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Stefan Żółkiewski — Zagadnienia stylu (Szkice o kulturze współczesnej), Warszawa 1965 r. wydanie I;

Seweryn Pollak — Przenikanie, wiersze, Warszawa 1965 r. wydanie I;

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mikulski, Jerzy Pieniążkowicz, Stefan Wolski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Grodzieńska 7. Telefon 5-34-48. Redakcja rękopisów nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półroczne zł 24, roczne zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu", zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,50; półroczne zł 33,40; rocznie zł 72,50. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-6-100011 oraz „Ruch" Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unicka 4.

Zam. 2909 30.XI.66 H-4

FIJOŁEK NOWOROCZNIK LUBELSKI

ALBO LUBLIN 31-GO GRUDNIA 1899 R

1899 — 1900

„Trzeba z żywymi naprzód iść
Po życie sięgać nowe...
Nie zaś w laurowy zwiędły liść
Z uporem stroić głowę".

(Adam Asnyk)

— *No zabieraj swe manatki, rzekł Saturn i dalej w Letę.*

— *Jak to już, z westchnieniem wyjąkał „1899"?*

— *A już. I tak za długo kręciłeś się po świecie Stary Roku, znikaj więc szybko, bo to młode pacholę ochrzczone imieniem „1900" dziwnie rwie się do życia i sypie obietnicami jak z rogu obfitości. (...)*

* * *

Przejrzyjmy kronikę ubiegłego roku. W styczniu otworzono waranty, które jak dotychczas pod względem realnych rezultatów za sfery projektów nie wyszły. Poruszono również w piśmie naszym projekt gimnazyum realnego.

W lutym i marcu zaczęły kielkować projekty jarmarków, zadecydowanych do przeniesienia z Łęczny.(...)

Zarząd Towarzystwa dobroczynności udzielił poważnej wiadomości, że władze projektują oddać na własność Towarzystwa cały klasztor po-Dominikański...

Ogólne zebranie członków Tow. Kredytowego miejskiego uskuteczniło wybór dwóch dyrektorów na miejsce zmarłych w roku zeszłym... Kwiecień też dał nam pierwszą wiadomość o projektowanej w roku przyszłym wystawie przemysłowo-rolniczej...

Maj, pora słowików, fiołków, marzeń i miłości, stał się miesiącem ważnym w dziejach kasy przemysłowców... Położenie kamienia węgielnego pod siedzibę własną kasy, mimo opozycji wielu, dało możność na schyłku roku widzieć wspaniały gmach stojący pod dachem, który stanie się prawdziwą ozdobą miasta...

W lipcu mieliśmy, w skromnym zakresie obchodzony jubileusz Towarzystwa Lekarskiego... Jedyne to Towarzystwo naukowe w Lublinie...

(We wrześniu)... pierwsze wyścigi lubelskie udały się bardzo dobrze. Mieliśmy na wyścigach znakomitego gościa pianistę Śliwińskiego, który grał tylko w totalizatora na estradzie słyszeć się nie dał. Wrzesień dał też początkowanie Towarzystwu Rolniczemu...

W październiku, zarząd Towarzystwa Muzycznego odmłodzony trochę w swym składzie zaczął energicznie szykować się do kampanii artystycznej.

Zreorganizowany w szerszym zakresie towarzystwo Cyklistów mało co prawda pokazało swej żywotności w lecie. Zato obecnie członkowie bardzo dobrze tańczą i doskonale się ślizgają.

W listopadzie mieliśmy kryzys węglowy, który podniósł ceny węgla o 30 proc. Biedni cierpią na tem najwięcej, bo i drzewo drogie, a projekt torfiarni dotychczas jest w zamierzeniu.

Grudzień obdarzył nas zimą mroźną, ceny produktów pierwszej potrzeby podniosły się znacznie, przesilenie finansowe trwa stale. Święta Bożego Narodzenia przeszły bardzo cicho, bo czasy nastały ciężkie(...)

* * *

Północ... Drzwi wyparte młodzieńczymi ramionami otworzyły się z łoskotem. Wpadło pacholę strojne w kwiecie, pełne szlachetnego zapału i żaru dziwnego w oczach.

Wpadło wołając: Ludzkości, ja ci miłość niosę w darze. — Jam „Nowy Rok"...

KRONIKA BIEŻĄCA

ZE ŚWIĄT. Zwyczajem dorocznym w ochronach naszych odbyły się choinki dla dzieci. W sobotę w domu starców i kalek opiekun p. J. Karo dopełnił łamania się opłatkiem z pensyonariuszami, później każdy z nich otrzymał wigilijną wieczerzę. W niedzielę o 3-ej po południu w szkole ewangelickiej zgromadziły się wszystkie dzieci bez różnicy wyznania, gdzie po stosownej przemowie przez Ks. Szönecha uproszone damy zajęły się rozdawaniem kolędy. Pogoda w czasie świąt dopisywała bardzo. W teatrze i cyrku — szczególnie popołudniowe przedstawienia cieszyły się powodzeniem. Na ulicach ukazały się szopki. W świątyniach pańskich tłumy pobożnych zanosiły modły do Pana. Zastępów, by życzenia przy wigilijnym stole składane, spełnione zostały.

WIECZÓR SYLWESTROWSKI. Towarzystwo Cyklistów urządza w sali balowej Teatru Lubelskiego (...) wieczór tańcujący dla członków i ich rodzin. Zabawa sądząc z dotychczasowych zapisów zapowiada się bardzo interesująco. Panie proszone są o przybywanie w toaletach skromnych.

POŻAR. Z piątku na sobotę około godziny 3-ej po północy zlowroga łuna zajaśniała nad miastem. Paliły się znane łazienki Chmielewskiego, przybyła straż ogniowa z p. policmajstrem na czele zajęła się energicznym ratunkiem, a głównie umiejscowieniem ognia. Mimo chwilowego braku wody, pożar został w godzinę opanowany. Straż pozostała na stanowisku do rana.

Z AURY. Mamy od paru dni zupełną odwilż.

CIEKAWA STATYSTYKA. Przed kilku dniami odbyło się w Petersburgu posiedzenie podkomisji, która określić ma stosunek między zranieniami, a mocą wódki skarbowej. Za podstawę pracy swej przyjęła podkomisja materyał statystyczny, zebrany przez naczelnego chirurga szpitala Obuchowskiego, d-ra Trojanowa. Materyał ten wykazuje, że z chwilą wprowadzenia monopolu, liczba zranionych, szukających pomocy w powyższym szpitalu, wzrosła z 400 do 1200. Zauważyć się nadto daje w licznych wypadkach charakterystyczne zranienia dłoni (...) Dr. T. tłumaczy to specyalnym sposobem otwierania butelek z wódką dłonią... (Jednocześnie)... widocznie jest ...zmniejszenie się pijaków. Wobec tego, tem dziwniejszą jest rzeczą, że zwiększyła się liczba poranień... Niektórzy (lekarze) byli zdania, że przyczyną szybkiego upijania się jest sposób wypijania wódki wprost z butelki bez zakąski, oraz mieszanie wódki z piwem, praktykowane po piwiarniach (...)

Literatura i sztuka

Jubileusz redaktora „Gazety Kieleckiej"

Najstarsza z pism prowincjonalnych naszych „GAZETA KIELECKA" w dzień wigilijny obchodziła rocznicę ćwierćwiekowej pracy redaktora i wydawcy swego p. STANISŁAWA SIENNICKIEGO.

Dwadzieścia pięć lat pchać taczkę dziennikarską na prowincyi, wśród warunków bardzo niewdzięcznych potrzeba mieć wiele hartu i siły moralnej (...)

Do życzeń przesłanych telegraficznie dołączamy raz jeszcze serdeczne „Szczęść Boże" na dalszą drogę pracy ciężkiej choć świętej.

Są już do nabycia
POCZTÓWKI
z podobizną artystki teatru lubelskiego
p. BRANIKOWSKIEJ
wyłączna sprzedaż w księgarni u Wikt. Kiesewettera p. f. M. Arct w Lublinie.

Teatr Lubelski

w niedzielę 31 grudnia 1899 roku po południu **„Urszulka z Czarnolasu"** sztuka w 5 aktach, Gabryeli Zapolskiej. Wieczorem **„Piękna Helena"**, operetka komiczna w 3-ch aktach, muzyka Offenbacha. Występ Anny Bertolett w roli Oresta.

Cyrk Godfroy

w niedzielę 31 grudnia 1899 roku
WIELKIE PRZEDSTAWIENIE
z udziałem całego personelu tych trup. Na zakończenie wielka sensacyjna pantomina **„WALKA BYKÓW W HISZPANII"** z zastosowanym hiszpańskim byciem.

Restauracya Hotel Europejski

Codziennie koncert chóru damskiego małorosyjskiego i Cyganskiego nowozaangażowanego. Występ śpiewaczki p. Lilli Ormene, śpiewaczki hiszpańskiej i tancerki hiszpańskiej fantastycznej p. T. Martens śpiewaczki międzynarodowej jak również fortepianisty violonczelisty p. Kazimierza Lange-Lanckorońskiego.

Początek koncertu o godz. 8 wieczór, koniec o godz. 1 w nocy. Restauracya otwarta do godz. 2-ej w nocy.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Wojna w Afryce Południowej

Z obozu Boerów

Korespondent MORNING POST, Churchill, który jako jeniec wojenny Boerów, bawił przez kilka tygodni w Pretoryi, ale uciekł pod koniec grudnia i powrócił do obozu angielskiego w Chiveley, opowiada zajmujące szczegóły o stosunkach panujących w Transwaalu i usposobieniu Boerów. Transwaalczycy — pisze — rozpoczęli wojnę z wielkimi obawami, i aż do bitwy nad rzeką Modder nie wierzyli w swoje zwycięstwo. Nadzwyczajne jednak powodzenie tygodni ostatnich nadało im wielkiej pewności siebie. Wszyscy, od prostego żołnierza do prezydenta, są przekonani, że Anglia niebawem poprosi o zawarcie pokoju (...) Sprawozdanie Churchill'a zrobiło w Londynie silne wrażenie.

Z kraju

Z Augustowa. *Siedzący nieboszczyk.*

„Gazeta Świąteczna" opisuje niezwykłe zdarzenie we wsi Czarny Bród pod Augustowem. Zmarł tam starozakonny i trzeba go było zawieźć na cmentarz do Augustowa...

(Wynajęty)... Gospodarz założył konie, okręcili trupa w płachty, położyli na wóz... Wjechali do lasu. Gospodarz ogląda się... a tu trup w całunie podnosi się, podnosi, w końcu siada.

Gospodarza na razie okrutny strach ogarnął. Zeskakuje z wozu, wyrzeka się koni i chce uciekać; ale po chwili opamiętał się, spojrzał na siedzącego nieboszczyka i krzyknął: — Połóż się! — Ale ten jak siedział, tak siedzi. Gospodarz podbiega do wozu, wyjmuje kionicę i grozi mu nią, nakazując, żeby się położył. Trup się nie kładzie. On go zlekka po głowie kłonicą. Nic — trup ani myśli się położyć. Uderza mocniej, — to samo.(...) To coś niepojętego — myśli gospodarz — przecież nie czary... Co to być może?

A rzecz była prostą: trup był okręcony płachtą a koniec płachty dostał się do koła; więc jak koło zaczęło się obracać, to i płachtę wkręcało tak, że w końcu trupa podniosło, aż usiadł. Gospodarz zaczął wóz w tył odpychać, a trup zaraz zaczął pomału w tył spadać i położył się tak, jak wpierw leżał.(...)

OGŁOSZENIA

Orkiestra S. Szpilfogla

Mam zaszczyt donieść Szanownej Publiczności, że zorganizowałem niedawno orkiestrę złożoną z 14-tu młodych, wysoce muzykalnych osób. Grywamy na balach, weselach itd. za ceny przystępne. Repertuar najnowszy i bogaty.(...) Orkiestra moja cieszy się we wszystkich kółkach towarzyskich powodzeniem i prowadzona jest pod własną mą dyrekcją.

Z Uszanowaniem S. Szpilfogiel
Adres mój: ulica Lubartowska nr 35 dom własny.

Pierwszy raz w Lublinie

W przejeździe do Petersburga tylko w ciągu kilku dni... w gmachu Teatru Lubelskiego, wejście od ulicy Namiestnikowskiej

CUD NATURY

Dzieci olbrzymy

Najpiękniejsze dzieci w świecie Adolf i Fredzio 8-letni wagi 210 funtów, 7-letni wagi 195 funtów, których można oglądać codziennie od godz. 11 rano do godz. 10 wieczór.

Świadectwa i fotografie sposobem Roentgena można oglądać w kasie.

Nowość! Przychodźcie! Patrzcie! Podziwiajcie!

Dawniej „Versailles", dziś „Nora", klub dziennikarzy. (Przyp. red.)

Z humorystyki

KARYGODNA BEZCZYNNOŚĆ. Cóż, kochany, literacie... czy należysz do waszej kasy literackiej?

— Należę, ale jestem członkiem nieczynnym.

— No jak to?

— Dotąd jeszcze nie wziąłem pożyczki.

— A, rzeczywiście... taka bezczynność jest, doprawdy, karygodna.

PRZEWODNIK PO LUBLINIE

Drogi żelazne

Do Lublina dochodzą cztery odnogi kolei żelaznej: Nadwiślańska do Warszawy, trzy pociągi dziennie, taż sama Nadwiślańska rano i wieczór do Kowla, dwa pociągi, dziennie, do Łukowa jeden pociąg dziennie, przez Iwanogród na drogę Dąbrowską ku granicy, z którą się łączą pociągi, idące do Warszawy.

Restauracye

W Hotelu Polskim bardzo dobra. W Hotelu Wiktorya, w gmachu teatru na dole. Obiady w kamienicy Nr 155 na Krakowskiem Przedmieściu bliżej Ogrodu Saskiego. Jest i wiele innych.

Teatr

Wprost kościoła Wizytkowskiego na ulicy Namiestnikowskiej Nr 0, znajduje się piękny, okazały gmach teatru miejskiego, wzniesiony przez budowniczego miejskiego w 1884 roku. W gmachu mieszczą się: na dole, Towarzystwo cyklistów i lubelskie Towarzystwo wyścigów konnych; na piętrze obszerna sala koncertowa lubelskiego Towarzystwa Muzycznego, w której odbywają się również zwykłe zabawy publiczne, oraz sala teatralna, przedstawiająca się zresztą gorzej, niż ogół gmachu, skutkiem braku odpowiedniego oświetlenia, dobrej kurtyny i dość dużej sceny.

Dorożki

Stacye dorożek znajdują się na Krakowskiem Przedmieściu pomiędzy hotelem Europejskim i Wiktorya. Na ulicy Królewskiej, na ulicy Nowej koło Krakowskiej bramy (jednokonne) i na ulicy Święto-Duskiej (jednokonne), w starem mieście na Rynku i w rozmaitych innych punktach miasta.

Za kurs jazdy od rogatki do rogatki i do koszar Świętokrzyskich 20 kop. w dzień, a w nocy 25 kop. (jednokonna 15 i 20 kop.).

Omnibus chodzi do Sławinka od 15-go maja do 1 września, kurs jeden 10 kop. Abonamentu na omnibus nie ma, na wanny bierze się na miejscu w zakładzie bilety.

(Sławinek. Miejscowość kąpielowa nad rzeką Czechówką, leży poza Wieniawą, o 4 wiorsty od miasta. Ładne położenie miłem czynią to ustronie. W dobrych rękach i przy należytem rozszerzeniu zakładu, Sławinek mógłby stać się jednem z bardzo szczęszczanych zakładów kąpielowych).

Na przejazd omnibusem kupują się bilety w cukierni Semadeniego.

Lublin przyszłości

Wodociągi które już istniały w Lublinie w XVI i XVII-tym wieku, zostały zbudowane na nowo. Wieża ciśnień wznosi się wspaniale na placu Bernardyńskim.

Co do tramwajów i to elektrycznych, (których nie ma nawet Warszawa) rzecz już podobno ostatecznie zdecydowana i roboty rozpocząć się mają wkrótce.

Słowem nie tu brakować nie będzie, jeśli tylko więcej łączności i miłości braterskiej potrafimy wyrobić w społeczeństwie naszem, jednocząc wszystkie stany w imię pracy.